

Artykuły i korespondencje, przeznaczane dla „Kraju”, powinny być pisane czytelnie i po jednej stronie papieru. Rękopisy i fotografie można przysyłać pod opaską rekomendowaną. Drobnymi rękopisami Redakcja nie zwraca; większe po upływie roku bywają niszczone. Rachunki honorarjów regulowane są przez Administrację kwartalnie.

KRAJ

Biuro Redakcji otwarte (z wyjątkiem niedziel i świąt) od godz. 11 rano do 3 pop.; Biuro Informacyjne od godz. 5 do 6 pop. Administracja od g. 11 r. do 5 pop. Wszystkie trzy biura mieszczą się w Petersburgu, w domu № 82, kanał Jekateryński. Adres dla telegramów: Petersburg, „Kraj”, Warszawski Oddział „Kraju”, Marszałkowska 119.

Og. zb. №. 1023

Petersburg, 8 (21) lutego 1902 r.

Rok XXI. №. 6

TREŚĆ N-ru 6 „KRAJU”

DZIAŁ GŁÓWNY:

Artykuły bieżące: Pod berłem pruskim, p. Gordona i p. B. Z rozmów i wrażeń, p. *Varsoviensis'a*. Dwór, lud i plebanja, p. *Plebana*. W sprawie wzajemnych ubezpieczeń rolnych, p. V. W przelocie, p. *Varsoviensis'a*.

Listy korespondentów „Kraju”: (Echa zachodnie): Z Paryża, p. *Nemo*, z nad Warty, p. *Bart*, Śląsk górny, p. *Szlazaka*, i t. d. (Z miast i wsi): Z Kijowa, p. *Sama*, i t. d. (Z Królestwa Polskiego): Z nad Wisły, p. *B.*, z Warszawy, p. *Br. Bouffalla i Game*, i t. d.

Uwagi redakcyjne w sprawach bieżących. Przegląd prasy. Wiadomości bieżące: Dworskie, Urzędowe, Ogólne i Petersburskie.

Polityka zagraniczna. Tydzień polityczny. Kronika: Kościół i duchowieństwo. Prawo i sądy. Szkoły i młodzież. Osobiste. Ruch kobiecy. Statystyka. Wypadki. Różne. Sport. Zaślubiny. Odpowiedzi Biura informacyjnego. Doniesienia. Nekrologia.

Ekonomista: Przegląd. Tydzień ekonomiczny. Kronika giełdowa. Ogłoszenia.

DODATEK NADZWYCZAJNY.

Z sali sądowej.

ŻYCIIE I SZTUKA

(Pismo dodatkowe).

Artykuły: O Zagłobę, p. *Cezarego Jacewskiego*. Literatura wrzesińska, p. *Janusza*. Pod gwiazdzistym sztandarem. (Nasi emigranci w Stanach Zjednoczonych), p. *Józefa Itowieckiego*. Wiedza dla wszystkich. (Uniwersytety ludowe w Galicji). (I. Uniwersytet ludowy im. Mickiewicza. II. Powszerecne wykłady uniwersyteckie. III. „Toyn-beehala”, p. *Sz. Lwów—Warszawa*, p. *K.* Nowa linja kolejowa. (Kolej Bagdadzka), p. *B.* W przelocie. (Dola artystów), p. *V.* Na widnokręgu literatury. (Przeład polski dzieła Juliana Klaczki: „Annekaja w dawnej Polsce”), p. *K. Wł. Kumanieckiego*. Około Marokka. (Z wrażeń turysty), p. *B. Bouffalla*. Z czeskiego karnawału, p. **.

Notatki: naukowe, literackie, artystyczne, teatralne. Nowe książki.

Ilustracje: Trzy ilustracje do artykułu „Pod gwiazdzistym sztandarem”. Nowy gmach poczty i telegrafu. Jedna ilustracja do artykułu „Nowa linja kolejowa”. Z fotografii amatorskich: „Brama Opatowska w Sandomierzu”. Jedna ilustracja do artykułu „Około Marokka”. Żniwiarka, poruszana przez motor naftowy. Humorystka polityczna. Portrety: Aleksander Dumas. Wiktor Hugo. Prof. Kazimierz Twardowski. Edmund Libański. Emil Młynarski. Portrety w kronicy pośmiertnej: Ksawery Pillati.

DODATEK POWIEŚCIOWY:

Rok 1809. Powieść historyczna przez *Wacława Gąsiorowskiego*. (DC). Z Grecji. Wiersz, p. *J. Czarnowskiego*. Piękna ogrodniczka. Fragment sceniczny w 1 odsłonie *Stefana Krzywozawskiego*. (DOK). Streszczenia. „W godzinie cudu”, p. *St. Przybyszewskiego*. Miecz i Łokieć. Powieść z wieku XVII, przez *Wiktora Gomulickiego*. (DC). Ze szczytów pragnień. Wiersz p. *Stawisława Pomaskiego*. To i owo.

KARTA ALBUMOWA:

„Portret”, rzeźba *K. Laszczki*.

Do dzisiejszego N-ru „Kraju” dołączoną jest **Karta Albumowa**, odtwarzająca rzeźbę *K. Laszczki*: „Portret”.

Numer niniejszy wychodzi bez artykułu wstępnego.

POD BERŁEM PRUSKIEM.

Uchwalenie funduszu gadzinowego.

W ubiegłym tygodniu przyszedł pod obrady sejmku powiększony z 400 tys. do 1 miliona marek fundusz dyspozycyjny na cele anty-polskie dla naczelnych prezesów W. Ks. Poznańskiego, Prus zachodnich i wschodnich, oraz dla prezesa rejencji opolskiej. Fundusz ten opinja polska oddawna już ochrzciła mianem „gadzinowego”.

W imieniu Koła polskiego przemawiali posłowie dr. Antoni Chłapowski i Józef Głębocki. Pojawienie się pierwszego na mównicy wywarło w sali wrażenie: dr. Chłapowski, jeden z ostatnio obranych posłów polskich, dotąd jeszcze w sejmie głosu nie zabierał. Koło polskie miało obecnie sposobność przekonania się, jak dzielnego szermierza słowa pozyskało do swych szeregów.

Dr. Chłapowski wytknął przedewszystkiem, na jakie cele przeznaczony jest fundusz gadzinowy: ma on podburzać jedną część ludności przeciw drugiej, ma zachęcać Niemców, żeby chętniej niż dotychczas „biegli na szançe”. Tych słów użył minister skarbu; to samo hasło, chociaż w innej formie, powtarza się w mowie tronowej i w przemówieniu kanclerza Rzeszy.

„Nie chcę krytykować wyrażen pp. ministrów—mówił poseł Chłapowski—ale to zaznaczyć muszę, że gdyby takich samych słów użył dziennik polski, zwracający się do Polaków, redaktor pozwany zostałby na mocy § 130, przed sąd. Aresztowanoby go niezwłocznie i skazano co najmniej na 4 miesiące więzienia, jak się to ostatniemi laty działo w Poznaniu. Zwiększenie tego funduszu motywowanem jest wzmoczoną agitacją polską i tem, że niemożna coraz silniej uciskać jest przez Polaków. Otóż co się tyczy agitacji, to Polacy wcale nie potrzebują agitować: ministrowie i rząd zastąpili ich najlepiej w tej mierze”.

W dalszym ciągu dr. Chłapowski przytoczył oświadczenie dawnego au-

strjackiego ministra handlu, Schaefflego:

„W języku cywilizowanego narodu tkwi opieka dla jego duchowej natury. Każdy członek narodu prześladowanie języka tak odczuwa, jak gdyby mu język wyrivano. Tylko dzięki łotry mogą popełniać taką zbrodnię na całym narodzie”.

Agitacja polska—to obrona przeciw tym łotrom i przeciw tej zbrodni.

Następnie dr. Chłapowski poddał ostrej krytyce owe dowody cyfrowe, które sobie obstałował hr. Bülow u naczelnych prezesów rejencji (przytoczono je w N-rze 4 „Kraju” str. 7)—wykazując ich tendencyjne fałsze.

„Ale przypuścimy nawet, że wszystko, co twierdzą raporty prezesów, jest prawdą. Zaiste, panowie, czy to jest zbrodnią, czy to jest błędem, jeżeli obywatele państwa dążą do tego, żeby mieć większą siłę podatkową, żeby energją i dzielnością swą ekonomicznie się podnieść? Z tego właśnie czyni im rząd królewski zarzut, a postępowanie to rzędu jest potworne i trudne do pojęcia. Nie możemy się godzić na to, żeby kosztem ogółu hodowano pasorzytów państwowych. Nie możemy zatem inaczej postąpić, jak zaprotestować przeciw temu funduszowi. Będziemy też przeciw niemu głosowali, chociaż jesteśmy przekonani, że pomimo to zostanie uchwalony. Przyjdzie nam zwalczać niejedną burzę, lecz o nieugięte nasze poczucie narodowe, nie dające się już niczem wyrugować, o ten „granit” nie jeden minister jeszcze rozbije sobie głowę i „dziób” swój” stępi.

Chłapowskiemu odpowiedział minister skarbu Rheinbaben. Wobec niewolniczo posłusznej mu większości sejmowej, Rheinbaben nie próbował nawet odpierać zarzutów polską polskiego.

„Nie mam zamiaru wdawać się w nowe rozprawy polskie—oświadczył.—Słów powiedziano w tej kwestji dość, teraz czas przyszedł na czyn”.

W imieniu centrum głos zabrał poseł Strombeck, który, zaznaczywszy, iż stanowisko katolików niemieckich w sprawie polskiej jest znane, poddał rozbiorowi tylko prawnofinansową stronę funduszu gadzinowego. Znowu otrzymał replikę od p. Rheinbabena, iż rząd używa tych pieniędzy na popieranie niemieckich spółek, szkół uzupełniających i stowarzyszeń rzemieślniczych w stronach zagrożonych (?). Na to odparł poseł Głębocki, że mu dobrze wiadomo, w czyich kieszeniach rozplywa się „fundusz dyspozycyjny”: służy na zapomogi dla urzędników i pastorów protestanckich, którzy i tak już bardzo wysokie pobierają pensje. Fundusz ów służy więc jedynie

pierwszej poważniejszej klęsce i «Germania» i «Allgemeine Norddeutsche» pokazywały rolnikom naszym figę. Na to zaś nie było rady, bo sądy pretensji-by nie przyznały. «Borussia» operuje dotychczas, oczekując niezawodnie na chwilę sposobną do pójścia śladem swoich pruskich towarzyszek. Otóż, jeżeli rolnicy nasi ubezpieczali się w tych towarzystwach, będąc wystawieni na takie ryzyko—dowodzi to, jak nam pilnie potrzebna była nasza «Ceres».

— Byłbym wdzięczny za kilka słów historii «Cerey».

— Pierwsze starania rozpoczął s. p. Konstanty Górski lat temu dwadzieścia i parę. Nie zostały one uwiecznione pomyslnym skutkiem. Nie przestaliśmy mimo to kolatać i ponowiliśmy starania lat temu sześć. Sprawą tą kierowali: p. Janusz Sliwiński i p. Józef Jeziorański. Raz jeszcze nam odmówiono, tym razem dla formalnych czysto powodów, a gdy i te usunęliśmy, otrzymaliśmy za twierdzenie «Cerey», rok temu.

— A zkad wzięto pierwsze kapitały?

— Widzi pan, przy warszawskim Towarzystwie ogniowem istnieją osobne wyborowe grupy rolne, będące niejako same w sobie stowarzyszeniami; ze względu na cenzus moralny członków tych grup, Towarzystwo nie jest wystawione na straty, wynikające z nierządkich «spekulacji ogniowych», z rozmaitych podpałań, przeschacowań podstępnych i t. p. Te grupy (jest ich razem 12) dopuszczone zostały do pewnych zysków, pochodzących z własnych operacji, które to zyski się kapitalizowały. Otóż z tych kapitałów pożyczono Towarzystwu «Ceres» sto tysięcy rubli na początek, na warunkach oczywiście przyjaźielskich...

— A te warunki?

— Przyjaźielskie, jak mówię: więc cztery procent, o ile Towarzystwo będzie miało na to, gdy nie — procent się umarza i nie jest wymagalny i na rok przyszy, nawet gdyby ten rok przyszy dał świetne zyski Towarzystwu. Dalej splata kapitału niemal dowolna, bo wymagana wtedy dopiero, gdy suma ubezpieczeń w «Ceres» dosięgnie 30 milj.

Ktoby nie zaciągnął pożyczki na tych warunkach? — pomyślałem.

— W jakiej fazie jest Towarzystwo obecnie?

— W czynnej już. Delegacja, do której należą, oprócz mnie, pp. Janusz Sliwiński, Józef Jeziorański i Leon Grabowski, opracowała warunki polisowe, które są już zatwierdzone, i zebrała członków. Otóż członkiem z prawem głosu jest każdy, kto wniósł 100 rubli podatku na premie (dwie osoby, wnoszące po 50 rb., mają jeden głos). Dotychczas posiadamy już ubezpieczeń na sumę 2,500 tys. rb., czyli że przekroczyliśmy *minimum*, od którego właściwie zaczynała się nasza egzystencja; *minimum* to oznaczono nam w pozwoleniu na 2 milj. rb. Na przyszłość zaś członkiem będzie każdy ubezpieczający się, choćby ubezpieczenie jego nie przynosiło kilkunastu rubli.

— Zaczynamy więc robić. W pierwszym roku będziemy ubezpieczali: żyto, pszenicę, jęczmień, owies, groch i wykę—wszystko bezwzględnie, pod tym jedynie warunkiem, że ubezpieczając się, choćby ubezpieczenie jego nie przynosiło kilkunastu rubli.

nym folwarku, t. j. że nie można będzie ubezpieczyć, dajmy na to, połowy żyta. Dalej *rzepak* ubezpieczają będziemy tym tylko stowarzyszeniem, którzy jeszcze coś innego, oprócz rzepaku, ubezpieczą. Zaś rośliny okopowe, jak *buraki, marchew, kartofle* i t. d. ubezpieczają będziemy o tyle, o ile uzyskamy wzajemność z jakim innym towarzystwem. W tym interesie właśnie wyjeżdżam w tych dniach zagranicę...

— A wysokość premij?

— Ogłosimy je niebawem. Pan rozumie, że młode towarzystwo musi działać ostrożnie, nie dać się podejść, mieć się na baczności. W każdym razie może pan śmiało napisać, że warunki w naszym towarzystwie są normalne i jednoznaczne z innymi towarzystwami. Ulęgę zaś robimy stowarzyszeniom w tym względzie, że nie będziemy pobierali nic na kapitał zapasowy; utworzy się on z zysków. Narazie premja, przez pewien czas, pozostaną u nas, gdy zaś urosną do oznaczonej w ustawie normy, zwrócimy je stowarzyszeniom, po potrąceniu wyplat tym, co ponieśli straty. Niech pan powie rolnikom naszym, że ta nasza instytucja od nich całkowicie zależy. W imię solidarności interesów powinni przejąć się zasadą wzajemności, na której udało się nam oprzeć «Ceres». Dotychczas ubezpieczali się od gradu ci głównie, co mieszkali w t. zw. «pasach gradowych». Idzie o to, aby obecnie, wobec istniejących ułatwień, *wszyscy* ubezpieczali się od gradu, tak jak się ubezpieczają od ognia. Wtedy wysokość opłat będzie minimalna ¹⁾ i nie nie znacząca w ekonomji gospodarstwa. Instytucje, która, tak jak nasza, broni najżywniejszych interesów takiej jak ziemianie klasy społecznej, należy popierać wprost *pro publico bono*. Niechże pamiętają o tem ci, co «nie leżą w pasach gradowych», jeżeli nawet i nie zechcą pamiętać o tem, że te pasy są ruchome, i że w miejscowościach, gdzie niby «nigdy» grady nie bywały, przychodzą całe serje lat gradowych. Oczywiście, że ci, co szukają pomocy w hakatystycznej «Borussii», zwróć się ku nam przez sam instynkt zachowawczy. Pozostają ci, co mówią, iż «nie chcą tracić kapitału zapasowego, jaki nagromadzili sobie w Moskiewskim Towarzystwie». Otóż nie przesadzając realności tego kapitału, ani jego wysokości, możnaby im poradzić ubezpieczenie u nas jakiejś części krescencji tymczasowo, z uwagi, że przecież będą oni brali udział we wszystkim, co interesów ubezpieczenia dotyczy,—nawet w samym szacowaniu strat, co im sama ustawa zabezpiecza.

A oto ostatnie słowa:

— Ach! byłbym zapomniał o jednej jeszcze kategorii opornych, o tych, co zwłoczą z przystąpieniem, mówiąc: «Towarzystwo nie jest jeszcze skonsolidowane,—a nie wiadomo, jak pójdzie». Wyobraź pan sobie, jakby wyglądały towarzystwa, oparte na wzajemności, gdyby wszyscy tak mówili? Co? No, ale takich u nas wogóle coraz to mniej, a można śmiało powiedzieć, że zasada wzajemności powitana została przez szerokie koła rolników naszych nietylko przychylnie, ale wprost z radością.

¹⁾ Ponieważ ogólne zebranie ma prawo zmieniać wysokość premjów.

Pozegnałem dyrektora Towarzystwa «Ceres» słowem:

— Powodzenia!

Varsoviensis.

Warszawa.

DWÓR, LUD I PLEBANJA.

GŁOS Z PLEBANJI.

Audiat ut altera pars.

W Nr. 50 «Kraju» z r. z., w artykule: «Dwór, lud i plebanja», podznaczonym «Opoczniak», spotkałem twierdzenia o stosunku plebanji, dworu i ludu, wymagające zarówno sprostowania, jak i wyjaśnienia. Pan O. pisze:

„Drogą dobrowolnych ofiar kościołów nie stawiamy po wsiach *wcale*“.

Widać tak dzieje się w stronach opoczyńskich, skoro p. O. tak pisze, ale znane z piosenki «Opoczyńskie kraje» nie są Bogu dzięki całym krajem. W mojej np. okolicy nie stawiają *wcale* kościołów «drogą składek przymusowej» a wyłącznie z dobrowolnych składek. Znam proboszcza, który otrzymał pozwolenie na zbieranie dobrowolnych ofiar, pod warunkiem, aby zbierał «bez żadnego nacisku» (*biez nikakich pritiemienij*). Warunek ten sumiennie spełnił, zebrał jednakże 78 tys. rub., (wyraźnie siedemdziesiąt ośm tysięcy rubli) w ciągu lat kilkunastu.

„Plebanja znajduje podstawę bytu nie we dworze, lecz w ofiarności ludu. Oparcia szuka plebanja w ludzie, nie we dworze. Lud jest silny liczbą, a dwór jest silny... tradycją, zależną od tego, jak się kto chce z nią liczyć“.

Hola! mosanie Opoczniaku — zarzut to zbyt bolesny, aby go bez odpowiedzi zostawić. Plebanja nietylko liczy się z tradycją, ale ją i kocha w czynie, najczęściej dużo więcej od tych, którym się zdaje, że mają monopol na to, by być wyłącznymi jej przedstawicielami. Najprzód bowiem należy o tem pamiętać, że na plebanjach naszych mieszkają i tacy, którzy się we dworach rodzili, którzy mogą się świetną parantelą wykazać i którzy wysoko cenią swój klejnot szlachecki. A powtóre, jakkolwiek znaczna większość mieszkańców plebanji rodziła się we *dworach* i *chatach*, to i ona stwierdza poszanowanie tradycji. Jeżeli zaś prawie cały ogół mieszkańców plebanji nie we dworach się rodził, to któż temu winien, jeżeli nie dwory? Gdy plebani nasi byli dziedzicami, wtedy wpośród magnatów i dziedziców, kandydatów do stanu duchownego nie brakło, ale dziś... ich niema. A kto temu winien: plebanja czy dwór?

Robi dalej p. O. plebanji zarzut, również jak poprzednie, nie uzasadniony, że „oparcia szuka w ludzie nie we dworze, bo wie dobrze gdzie jest siła“.

Przyzna chyba każdy, że z pensji plebanowi żyć trudno, a na paru morgach koni nie podobna utrzymać. Któż więc temu winien, że dwory najczęściej zapominają o *obowiązku* dopomagania plebanji? «Jeśliśmy wasze duchowne rzeczy siali, wielka rzecz jest jeśliibyśmy wasze cielesne żeli?»—mówi Paweł św.—dodając: «Tak też Pan postanowił tym, którzy Ewangelię opowiadają, aby z Ewangelji żyli». Nie jest to więc, jak się wielu zdaje, żadna łaska, ale postanowienie Pańskie, które do końca świata obowiązować będzie, bez względu na zmianę stosunków. Cóż więc dziwnego, że pleban, nie znalazłszy pomocy we dworze, szuka jej u ludu? Przytem zapomina p. O. o bardzo ważnej przyczynie, utrudniającej stosunki plebanji z dworem—o *względach* moralnych.

Gdzież, nader często niestety, z całej parafji największa bywa niemoralność, jeżeli nie we dworze i w pośród służby dworskiej? Jakże więc z takim dworem dobre stosunki utrzymać?

Minęły już, Bogu dzięki, bezpoczątkowo czasy zależności plebanji od dworu, gdy pleban pana kolatora w łokieć całował i porzucał pracę nad ludem, bo go wzywano przez lokaja do dworu, na czwartego do preferansa. W takich warunkach trudno było mieć wpływ moralny na dwór—ale to są *tempi passati!*

Dziś największy nieprzyjaciel przyznać nam musi, żeśmy zrobili w ostatnich latach pięćdziesięciu olbrzymi krok naprzód pod względem moralnym i umysłowym, to też tak pożądany dobry stosunek między dworem a plebanją na innych całkiem warunkach musi być opartym.

Jeżeli dwór będzie pojmował swój obowiązek przewodnictwa moralnego i będzie ludowi dobrym przykładem przyświecał, pełniąc wiernie obowiązki religijne, biorąc udział odpowiedni w utrzymaniu kościoła i plebanji, a kapłan będzie mężem kościelnym, jakich teraz wśród nas najwięcej, to można być pewnym, że stosunki te będą dobre.

„Naogół — pisze dalej p. O.—stawiamy budowle kościelne zbyt kosztowne (a więc idzie tu głównie o własną kieszeń!) które *wcale* nie odpowiadają zamożności wiosek i nie harmonizują z otoczeniem, stojąc wśród błota, rozwalonych płotów, nędznych, słomą krytych chałup i wyzierającego zewsząd opuszczenia i biedy!“

Mój Boże — jakie to są jednak różne gusta na świecie! Piszący te słowa, zarówno jak inni mieszkańcy plebanji, na to pracują życie całe, znosząc tysiące trudności i przeciwności, aby całe otoczenie kościołów katolickich, wedle ich sił i środków jaknajpiękniej i najwspanialej zbudowanych, urządzonych i

utrzymywanych, o ile można z tą ich pięknnością harmonizowało.

Pan O. przeciwnie, pragnąłby obdrzeć kościoły katolickie tak, aby one nietylko były gorsze od wszystkich innych świątyń chrześcijańskich i samych nawet bóżnic żydowskich, ale aby swemi słomianymi dachami i rozwalonemi, nędznymi płotami, z otoczeniem *harmonizowały*. Ha—co kto lubi!

Doprawdy, gdybym tych oryginalnych słów pana O. sam nie czytał, nikomu bym nie wierzył, żeby w XX wieku, w takich, jak nasze warunkach, ktoś mógł napisać te słowa, w tym samym języku, w którym śpiewał Kochanowski:

Czego chcesz od nas, Panie, za twe piękne dary,
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?

Czyż p. O. nie rozumie, że, pominiawszy religijne znaczenie kościoła katolickiego — bo chyba nie jest katolikiem—ale jakieś wielkie znaczenie cywilizacyjne ma świątynia dla ludu naszego? Gdzież ten biedny chłop zobaczy obraz czy rzeźbę, gdzież usłyszy muzykę, gdzie go olśni widok wspaniałych szat i ceremonij kapłańskich, jeżeli nie w Domu Bożym?

Nakoniec i to się p. O. nie podobna, że

„i pleban dziś coraz częściej wznosi sobie mieszkanie, nie przypominające w niczem starych i skromnych dworów ziemiańskich“.

Harmonijna dusza p. O. pragnęłaby, aby i plebanja tak jak i chałupa, «stojąc wśród błota i rozwalonych płotów nędznych», dostrajała się do «chałup nędznych, słomą krytych i wyzierającego zewsząd opuszczenia i biedy». Jakby to było poetycznie!

Pamiętam, jak przed laty 20 przybyłem w przejeździe do jednego z sąsiadów, mieszkającego w takiej harmonijnej plebanji, a on w moich oczach wyrzucał żaby z butów, których mu naszło pełne cholewy, ale reumatyzmu, biedak, do śmierci nie mógł wyrzucić. Otóż takich ulubionych przez p. O. plebanij, teraz rzeczywiście nie budujemy, lecz staramy się, aby kapłan miał choć skromne, ale przyzwoite mieszkanie, aby w nim zdrowia nie tracił, bo i tak dosyć go traci w nieopalanym kościele; a przeciwnie, by w niem przeważnie przesiadywał, nad sobą i swemi parafjanami pracował.

Jakże się więc p. O. zgorszy, gdy mu powiem, że w mojej okolicy, nawet prości chłopci, takie zwykłe chamskie dusze, co to dla zachowania tradycji, mieszkają w błocie i wśród rozwalonych płotów, mają często domy porządniejsze od dawnych dworów, nieraz—o zgrozo!—kryte dachówką, i—co już jest prostu skandalem—otoczone sztache-

tami, a zamiast płota, mają ogrody. Więcej powiem — taki gospodarz przyjeżdża do kościoła bryczką na resorach, konie jego warte są nieraz do 600 rubli, a ubranie lepsze, niż na nie jednym szlachcicu z dzia- da pradziada.

Kończąc to wyjaśnienie, zaznaczam najprzód, że lubo sam jestem kapłanem, przyznać muszę, że między nami też są wyjątki; ale nie należy wady jednostek przypisywać ogółowi, jak to czyni p. O. Słusznie bowiem Zygmunt mówi:

„Któryż stan,
Rzeknąć może, jam nie winien,
Jam nie zadał nigdy ran?“—

ale wyjątek wzmacnia regułę. Powtóre: że o ile znam obywateli ziemskich, a znam ich bardzo wielu, to oni nie podzielają przekonań p. O. Należą zazwyczaj do dozorów kościelnych, starają się, aby Domy Boże były jaknajwspanialsze, nie zalu- ją na to grosza z dobrowolnej ofiary, a i potem jeszcze sprawią dla nich rozmaite potrzebne sprzęty, gdy żony ich zwiększają własną pracą i groszem, liczbę aparatów i bielizny kościelnej.

Nietylko oni nie pragną zharmonizować kościoła z obdartą chałupą, ale przeciwnie, dla służby swojej, nawet dzierzawcy, stawiają domy murowane, na blocie robią szosy lub bruki i t. p. Ale zamiast uważać się z p. O. na ciężkie czasy, starają się zwiększyć swoje dochody gospodarstwem intensywnem i oszczędnością jaknajwiększą. A więc: *sursum corda!*

Pleban.

W SPRAWIE WZAJEMNYCH UBEPIECZEŃ ROLNYCH.

[Przytaczamy poniżej nadesłany nam przez jednego z członków kowieńskiego Towar. rolniczego artykuł, wyłuszczający powody, dla których ziemianie kowieńscy nie przystępują do mińskiego Tow. wzajemnych ubezpieczeń. Zamieszczając uwagi te w imię bezstronności, zaznaczyć jednak musimy, że, traktując daną kwestję ze stanowiska ogólniejszego, żałować musimy rozdrabniania sił].

Czytam w pismach liczne zarzuty pod adresem kowieńskiego Tow. rolniczego, że się od Tow. mińskiego ubezpieczeń usunęło. Opinia publiczna jest sądem, ale sąd ten obie strony wysłuchać winien. Dotychczas zaś, oprócz jednej korespondencji w «Słowie», głosy Tow. kowieńskiego wyraźnie były omijane. Gdzież więc zasada: *audiat ut altera pars?*

Autorowie korespondencji, przeciwno nam zwróconych i przeważnie z samego Mińska pochodzących, robią nam zarzutów wiele, ale nie wytknęli nigdzie istotnego stanowiska broniącej przez siebie instytucji. O tem stanowisku i jabym nie mówił, bo pragnę szczerze, ażeby się i mińskie Tow. wzaj. ubez. w pewnym obrębie rozwijało jaknajpomyślniej. Uw- żam jednak, że bezstronne wyświetlenie

tego stanowiska pożytek raczej przynieść może, i że nadeszła chwila, w której to wyświetlenie dał winniśmy.

Jakże więc w świetle prawdy stoją rzeczy i, jeżeli układy pomiędzy dwoma towarzystwami nie doszły do skutku, to co było tego powodem? Czy rzekomym separatyzm guberni kowieńskiej, która liczne najlepszych chęci dała dowody, czy też pośrednia wprawdzie, ale ciężka zależność mińskiego Tow. wz. ub. od związku towarzystw akcyjnych? Przypatrzmy się temu bliżej.

Na zasadzie poważnej pracy dowiodła nam nasza komisja asekuracyjna, że guberni kowieńska dla rozmaitych powodów miała pożarów mniej bezporównania, niż reszta guberni naszych. Zgadza się na to wszystkie źródła, nie wyłączając ostatniego, t. j. statystyki 10-miesięcznego istnienia Tow. wzajemnych ubezpieczeń w Mińsku, która wprawdzie miarodajną być nie może tymczasem, ale w każdym razie popiera już teraz nasze twierdzenie. Zresztą o przewadze naszej wiedzieliśmy od lat wielu ulgi znaczne. To też jeszcze przed założeniem Tow. wz. ub. w Mińsku, uprzedziliśmy jego założycieli o naszych odmiennych warunkach, żądając 30 proc. ustępstwa w porównaniu do taryf pozostałych guberni. Ale żądaniu naszemu nie stało się zadość. Odmówiono nam wręcz, nie dyskutując o cyfrze, i tylko w imię zasady wzajemności, która rzekomo różni w taryfach nie znosi. Zasada ta jednak wkrótce przez samo Tow. wz. ub. w Mińsku złamaną została, bo Towarzystwo to ustanowiło ostatecznie taryfy odmienne dla rozmaitych guberni. I czemuż to tak prędkiem sprzeniewierzenie się zasadzie wzajemności przypisać należy? Oto Tow. wz. ub. w Mińsku, zawierając umowę reasekuracyjną, przyjęło ciężki warunek ustanowienia u siebie taryf towarzystw akcyjnych, a taryfy te są różne dla okolic rozmaitych, różne, ale do istotnych warunków nie zastosowane.

Tymczasem Towarzystwo kowieńskie, dla którego niewątpliwie jeszcze zarysowywała się istotna nieuwzględnienia jego dezyderatów przyczyna, szukało dalej drogi do porozumienia. Zdawało nam się, że chociaż cyfra 30-proc. ustępstwa całkiem dokładnie stosunkowi naszego ryzyka w porównaniu do ryzyka reszty guberni odpowiada, wzbudzić jednak może dyskusję, bo na zasadzie przeszłości była oparta, a przyszłość warunki zmienić może. Zaproponowaliśmy więc albo grupę oddzielną dla guberni kowieńskiej, albo taryfy dla każdej guberni oddzielnie, a zastosowane do istotnych strat guberni każdej w każdym ubiegłym kilkoleciu. I zdawało nam się, że propozycje nasze wiele słuszości miały za sobą. Bo kraju tak rozległego i o tak odmiennych warunkach, jak nasz, jednostajnie traktować nie można. Królestwo Polskie, mniejsze daleko i bardziej jednolite, liczne w Towarzystwie warszawskim utworzyło grupy, a każda z nich rozwija się inaczej. I ciekaw jestem, czy np. grupa lubelska, w imię solidarności, zgodziły się chciała na wspólne z grupą suwalską warunki? Towarzystwo mińskie wszelako oddzielnej grupy utworzyć dla nas nie chciało, a zaprowadzenie przez to Towarzystwo statystycznych

obrachunków dla guberni każdej wystarczyć nam nie mogło, bo nie mieliśmy zapewnienia, że statystyka taka, o charakterze czysto teoretycznym, na ustanowienie taryf w przyszłości wpłynie. Zapytuję teraz, czemu ani na oddzielną grupę, ani na taryfy, zastosowane do istotnych strat guberni każdej, nie chciało się zgodzić Towarzystwo mińskie? Oto kontrakt reasekuracyjny stanął temu znówu na przeszkodzie. Stałe też słyszeliśmy z Mińska tylko propozycję jedną: «przyjmujcie taryfy towarzystw akcyjnych!»

A my tej propozycji usłuchać nie chcieliśmy za nic, a to ze zrozumiałych latwo powodów. Przedewszystkiem podniesione właśnie taryfy towarzystw akcyjnych nie odpowiadały bynajmniej warunkom naszym i, przyjmując te taryfy, placilibyśmy co roku grubym innym guberniom podatek, albowiem zyski nasze, rozdzielone na asekuracje wszystkich guberni, rozplynęłyby się w ich masie. Zdawało się też nam daleko, że na otarzę wzajemności wszystko, oprócz niezależności, nieść wolno. I proszę wejść w położenie: o zrzućeniu z siebie więzów towarzystw akcyjnych marzyliśmy dawno i cieszyliśmy się szczerze, że powstaje nareszcie instytucja nasza, w której znajdziemy odpowiednie warunki. A co ostatecznie przynosi nam ta instytucja? Zależność od związku towarzystw akcyjnych!

Pomimo takiego rozczarowania zapytywaliśmy jeszcze Towarzystwo mińskie, co się stanie, jeżeli związek towarzystw akcyjnych premje nam znówu podniesie. Odpowiedziano nam, że i w tym wypadku ulegniemy wszechwładzy związku. Ale zawszą podnosiły się głosy, że takie przewidywanie to pesymizm, że złą wolą graniczący. A jednak przewidywania te już się w części sprawdziły. Związek od d. 5 stycznia r. b. na pewną kategorię ubezpieczeń już nam podniósł taryfy, a p. G—r., donosząc o tem w N-rze 51 «Kraju», w polemizującym z nami ekonomicznym przeglądzie, czy nie po naszej stronie młyn stawia?

Po tak nieudatnych pertraktacjach postanowiło Towarzystwo kowieńskie, ku wielkiej zgrozie pp. korespondentów, założyć własne Towarzystwo ubezpieczeń wzajemnych. Na tem postanowieniu jednak nie skończyły się nasze układy. Na naszym zebraniu w Poniewieżu zrobił nam p. Konstanty Skirmunt, członek rady nadzorczej mińskiego Towarzystwa ubezpieczeń wzajemnych, propozycję utworzenia przy tem Towarzystwie oddzielnej grupy dla guberni kowieńskiej, wierząc jeszcze w możliwość grupy takiej, pomimo pierwszej odmowy. Zdawało nam się, że to gałązka oliwna, i czekaliśmy propozycji, które z Mińska nadejść nam miały. Ale zamiast tych propozycji, otrzymaliśmy tylko zawiązanie do opracowania własnego projektu grupy. Niezrażeni, wzięliśmy się do pracy, w której uczestniczyli między innymi p. Józef Montwiłł, znany ekonomista i rzecznik połączenia się naszego z Towarzystwem mińskim. Debatowano nad trzema zasadami grupy. Przeszedł projekt p. Montwiłła, który z natury rzeczy do ustępstw bardzo był skłonny. A jednak Towarzystwo mińskie projekt nasz odrzuciło, stawiając nam wzajemnie niemożliwe do przyjęcia warunki, które prosto do zerwania układów zmusiły.

Wpominę tu tylko, że, według tych warunków, grupa zawiązaćby się musiała d. 31 grudnia r. b., i że jeszcze przed tym terminem, t. j. przed utworzeniem grupy, musieliśmy zapewnić Towarzystwu mińskiemu 50 tys. rb. premji rocznej. A gdyby premja powyższa do oznaczonego terminu wniesiona nie została, to grupaby się nie utworzyła. Grupa zostałaby też rozwiązana, gdyby kiedyś opłacane przez nas premje do 45 tys. rb. spadły. Układ zresztą tylko przez pięć lat miał obowiązywać, a w razie niedojścia grupy do skutku, czy jej rozwiązania, asekuracje grupy uwazałyby się za zawarte w Towarzystwie mińskim na zwykłych zasadach. Grupy nie chciano zapewnić nawet inspektora własnego, i byłaby ona zupełnie zależną od Towarzystwa mińskiego nietylko względem taryf, ale i co do użycia własnego zapasowego kapitału. Jednym słowem, taką była propozycja mińska, że już dla trudności czysto technicznych grupa utworzyłaby się nie mogła, a nawet utworzona, z łatwością mogłaby być rozwiązana. Jej istnienie po pięciu latach niczem nie byłoby zabezpieczonym, tak iż wygodniej już daleko byłoby przystąpić do Towarzystwa mińskiego po za grupą, niż w grupie. To też układy o grupę odwiekły wprawdzie trochę nasze o Towarzystwo własne zabiegi, ale w żadnym razie zabiegów tych wstrzymać nie mogły. I zapytuję raz jeszcze, co właściwie utworzeniu grupy stało na przeszkodzie? Sądę, że znówu układ reasekuracyjny.

Tak więc Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń w Mińsku odrzuciło wszystkie żądania nasze. Rozeszliśmy się. Ale czyż same znużone układy nie są dowodem, że w Towarzystwie kowieńskim nie było ani separatyzmu, ani braku solidarności, wytkniętego nam przez p. K. Sk. w jego korespondencji z Grodną w N-rze 17 «Kraju». Czemuż też nareszcie jest ta solidarność? Jeżeli np. dziesięć osób chorych jedzie do jakiejś stacji leczniczej, przypuszczać należy, że się im razem dobrze powiedzie. Co stanie się jednak, jeżeli dla solidarności pojedzie z nimi jedenasta zdrowa osoba? Sądę, że chorym nic z tego, a sama napewno zdrowie utraci, jeżeli zwłaszcza o pewnych środkach ostrożności zapomni. Po tym luźnym przykładzie, który tu zresztą tylko dla wyjaśnienia istoty solidarności cytuję—zapytuję, czy Towarzystwo kowieńskie nie zrobiło wszystkiego, ażeby bez strat oczywistych do asekuracji mińskiego Tow. się przyłączyć? Niech na to odpowie czytelnik. Ja ciągnę dalej.

Miało zapewne Towarzystwo mińskie swoje racje do zawarcia układu ze związkiem towarzystw akcyjnych. Bez tego układu trudno było może o reasekurację, a reasekuracja znówu, wobec złych warunków guberni grodzieńskiej, mińskiej i mohylowskiej, istotną mogła być potrzebą. Zdaje się nam jednak, że reasekuracja kosztowała zbyt drogo, bo wzajemian za nią odebrano niezależność. Gdy się tak jednak stało, to pocóż skargi pp. korespondentów na Towarzystwo kowieńskie? Wszelką spokojną i rzeczową krytykę przyjmujemy z ochotą, ale po co przypisywać postępowanie nasze jakimś wpływom ubocznym, wpływom, w które sami autorowie wierzyć nie mogą. Po co też przenosić tę sprawę natury czysto

pieniężnej na pole hasel, które nic z nią wspólnego nie mają? Po co też mówić, że gubernia kowieńska nie wie, co począć z asekuracjami, kiedy chyba żadna kwestja tak dokładnie, jak kwestja asekuracji opracowana u nas nie była? skoro poszło podanie o Towarzystwo własne, to już chyba wiadomo, czego się trzymać? Po co nareszcie rozgoryczać stosunki?

Co do guberni kowieńskiej, to już sam liczny jej udział na wystawie w Mińsku dowodzi, że sprawy asekuracyjne traktujemy całkiem odrębnie, i że stosunków naszych z gubernią mińską nie uważamy bynajmniej za zachwiane. Wielce uprzemem było też dla nas dotychczas mińskie Towarzystwo rolnicze. Inaczej pp. korespondenci, za których zresztą Towarzystwo to odpowiadać, naturalnie, nie może. A przecież dobre stosunki obu stron nieraz jeszcze przydać się mogą. W tej samej sprawie asekuracyjnej, tak czy inaczej, wybić jeszcze może godzina, w której nawet utworzone już Towarzystwo ubezpieczeń wzajemnych kowieńskie z Towarzystwem mińskim do porozumienia dojść mogą, chociażby np. na polu wspólnej u siebie reasekuracji. Bierzmy więc rzeczy na chłodno, a w każdym razie nie jęczmy stosunków, bo skutki wzajemnego podrażnienia mogą być tylko niepożądane.

V.

W PRZELOCIE.

100 tys. rb. p. Feliksa Sobańskiego.

P. Feliks Sobański złożył niedawno bardzo hojny dar na cele publiczne: sto tysięcy rubli. Intencje ofiarodawcy nie zostały narazie ściśle, a przynajmniej formalnie określone; ograniczył się w pierwszych czasach na zaznaczeniu, że sumą tą pragnął przyjść w pomoc oficielom rolnym, organizując w tym celu odpowiednią instytucję. Pisma warszawskie mówiły przy tej sposobności o kasie emerytalnej. P. F. Sobański złożył swoje oświadczenie pod adresem warsz. Tow. rolniczego.

Otóż w sprawie tej dużej ofiary i szlachetnych intencji ofiarodawcy, otrzymałem nieco informacji od p. Stanisława Dzierżbickiego, wice-przesa Towarzystwa rolniczego.

Pan wie, że była mowa o utworzeniu kasy emerytalnej dla oficielów rolnych. Zauważyć jednakże należy, iż instytucja kas emerytalnych wogóle nie ma przyszłości pewnej, od czasu, gdy prace p. Bolesława Maleszewskiego, dyrektora kancelarii kredytowej przy ministerstwie skarbu, dowiodły, że kasy emerytalne nie posiadają wprost matematycznej podstawy i liczbowego uzasadnienia do egzystencji. Wskutek tego już tyle kas emerytalnych kolejowych zreformowano, a w całym państwie przyjmować się poczyna typ „kasy wkładowo- (czyli oszczędnościowo-) pożyczkowej. Jako na jeden jeszcze dowód, potwierdzający wywody p. Maleszewskiego (ogłoszone w słynnym dziele, p. t.: „Teoria i praktyka kas emerytalnych“), można wskazać na stowarzyszenie lwowskie oficielów rolnych, — posiadające, powiedzmy nawiasem, olbrzymią liczbę członków; utrzymało ono wprawdzie emeryturę dla swoich członków, ale już „trzykrotnie“ widziało się zmuszone ją obniżyć. Z uwagi na to wszystko, zwrócić się do p. Sobańskiego z inicjatywą, wskazując mu istnienie u nas instytucji, która działa i rozwija się w myśl właśnie jego intencji.

— A tą instytucją jest?

— „Warszawska Kasa pożyczkowo-oszczędnościowa rolników i ogrodników“. Skoro zaś ma pan zamiar, jak widzę, wspomnieć o niej w druku, to proszę i adres podać: ulica Złota № 24; może się to komu przyda. Ta kasa (której jestem obecnie prezesem) istniała dawniej przy Towarzystwie pączelnico-ogrodniczym; od sierpnia roku 1901 otrzymała pozwolenie od p. ministra rolnictwa do funkcjonowania w charakterze instytucji samodzielnej. Otóż po składamy obecnie członków rzeczywistych około 400; kapitału zakładowego mamy 2,600 rb., a funduszu oszczędnościowego 3,200 rb. Jest to skromnie, ale to dopiero przecie początki. Otóż ja mam nadzieję, że p. Sobański może zechce tym darem zasilić naszą kasę i w ten sposób postawić ją odrazu na dużą stopę.

— Czy działalność tej kasy odpowiada ściśle intencjom p. Sobańskiego?

— Można powiedzieć, że tak. Właściwie działalność kasy naszej jest obszerniejsza od tych intencji. P. Sobański ma na celu klasę samych oficielów rolnych, podczas gdy my zwracamy się do całej masy pracowników rolnych, a więc, między innymi, i do parobków.

— Czy parobcy mniej są upośledzeni od oficielów, że p. Sobański dar swój w ten sposób ograniczył?

— Zapewne; najprzód doświadczenie pokazuje, że parobcy daleko dłużej zdolni są do pracy, aniżeli oficjaliści; potem oficjaliści mają większe potrzeby, — że wspomnę choćby tylko o ich powszechnem dążeniu do dawania dzieciom jakiegoś takiego wykształcenia. Wszystko to jednak jest rzeczą drugorzędą wobec tego, że każdy parobek, byle nie był zupełnie już lekkomyślnym i nieogładającym się na jutro, może z łatwością — przy pomocy Banku włościańskiego — zostać gospodarzem, otrzymać własny szmat ziemi. Można więc powiedzieć, że los oficielów rolnych mniej jest stonkunkowo pomyślnym, aniżeli parobków.

— I co właściwie otrzymują członkowie kasy, której pan przewodniczy?

— Ci, co przez lat dwadzieścia należeli bez przerwy do kasy, dostają *kapitał*, dość znacznie przewyższający sumę tego, co sami przez ten czas składkami wnieśli. Taki kapitał na stare lata jest prawdziwym dobrodziejstwem, na to chyba każdy się zgodzi.

— Czy jednak ustawa przewiduje możliwość składania ofiar na korzyść pewnej tylko kategorii członków?

— Najdoskonalej. Paragraf 29 ustawy naszej powiada, że tak zwany „rachunek B.“ powstaje między innymi i „z sum, wnoszonych przez członków-protektorów na kapitał oszczędnościowy na korzyść wszystkich wogóle lub niektórych tylko członków“, i to się zresztą już praktykuje; niedawno np. p. Janasz złożył nam tysiąc rb., ze szczególnym przeznaczeniem dla oficielów dóbr swoich Płochocin pod Warszawą. A więc z tej strony p. Sobański żadnych przeszkód-by nie znalazł dla urzeczywistnienia swej myśli.

— I w jakiej fazie znajduje się ta sprawa?...

— Można powiedzieć: w fazie studjów. P. Sobański właśnie zapoznaje się z naszą ustawą i działalnością.

Warszawa.

Varsoviensis.

ECHA ZACHODNIE.

PARYŻ, 14 lutego.

[Obchód setnej rocznicy narodzin Bohdana Zaleskiego. Koło artystyczno-literackie. Wydawnictwo p. t.: «La Pologne contemporaine». «Revue Bleue» o sprawie wrzesińskiej. Godebski na wystawie klubu artystyczno-literackiego. «Salon» tegoroczny. Uroczystości W. Hugo].

△ Wśród przygotowań do uroczystości Wiktora Hugo, w skromniejszych

niżej rozmiarach odbył się wczoraj tutaj obchód setnej rocznicy narodzin Bohdana Zaleskiego. Zebranie wieczorne urządzone zostało staraniem Koła artystyczno-literackiego, które w tym celu wynajęło zbyt ciasną dla zgromadzonej publiczności salę Towarzystwa popierania przemysłu i handlu przy ulicy de Rennes. Zagaił to zebranie p. Gasz-towt rzewnymi i w piękną, jak zwykle, formę obleczonemi słowy, podnosząc znaczenie uroczystości. Potem zabrał głos p. Bugiel, dla odczytania życiorysowej «sylwetki», jak się sam skromnie wyraził. Nie wiem, czy celowi uroczystości i samym intencjom prelegenta trafnie odpowiadała wzmianka o «drażkowym krześle», które przed stu laty urodzony poeta zajmował w «sejmie poetów polskich», ale intencje p. B. były niewątpliwie jaknajlepsze. Między tym odczytem a drugim, p. Adamowicza, młodego poety, panie! Muttermilch i Mielecka deklamowały i śpiewały bardzo pocziwie i bez pretensji,—bez pretensji, jak sądzę, do innych pochwał z mej strony. Naogół wieczór przybrał, ku wielkiemu zadowoleniu zebranych, o ile miarkować mogłem, serdecznie-patriarchalny i przyjacielsko-amatorski charakter.

Srodki artystyczne i literackie, któremi nawet tutaj rozporządzamy, pozwalają może wyglądać więcej od «artystyczno-literackiego kola». Jakto? fortepian otwiera się dla uczczenia Bohdana—i nie zasiada do niego jakiś Radwan czy Stojowski? Nietylko z czynnym współudziałem, ale i w liczbie biernych nawet uczestników obchodu nie zauważyłem prawie żadnego z wybitnych tutaj-szych przedstawicieli naszej sztuki i literatury. A przecież żaden nie mógł pomyśleć o odmówieniu pośmiertnego hołdu wielkiemu poecie, zwłaszcza, że ten wielki poeta był w dodatku najzaczęniejszym człowiekiem i ma bardzo zacnego syna, którego obecność i skromne a sympatyczne zachowanie się bardzo wdzięcznie umilały wczorajszy wieczór.

Któż więc winien? Koło artystyczno-literackie robi, co może, ale w warunkach, które samo dla siebie stworzyło, nie może wiele. Koczujące między jedną a drugą kawiarnią, z przeżyteymi emigracyjnymi tradycjami i narowami związane, nie potrafiło — i nie mogło — stać się ogniskiem. Pozostało kole — «kółkiem» młodych ludzi, które to kółko nikomu oczywiście nie zawadza, ale też nie wprowadza w ruch żadnego życiowego trybu. Młodzi ci ludzie zechcą mi wybaczyć szczerze, z jaką się odzywam. Jestem tutaj od tego, jak sądzę, nie zaś od prawnienia komplementów, których skąpić zresztą, przy następczonej sposobności, nie mam zamiaru, życząc, aby następczała się ona jaknajczęściej.

Pojawił się nareszcie, zapowiadany oddawna prospekt na dzieło, p. t.: «La Pologne contemporaine». Wychodzić ma ono zeszytami, od września przyszłego zaczynając, drogą prenumeraty, której zbieraniem zajmuje się obecnie wydawca, p. A. Potocki. Przewidywać wypada, że będzie ona trudną do zebrania; a nie wiem, czy bardzo żałować tego trzeba, sądząc bowiem z prospektu, wydawnictwo zapowiada się w bardzo jaskrawych, artystycznie i duchowo, a dość niesmacznych barwach. P. Potocki i jego dru-

niły obowiązki sędziów gminnych, ławników i wójtów, mogą być wciągane do listy sądów przysięgłych, chociażby nawet nie posiadały wymaganego cenzusu.

Organizacja sądów przysięgłych w Królestwie Polskim różnić się będzie znacznie od organizacji takich samych sądów w Cesarstwie. Te ostatnie w ogólnych zarysach zbliżone są do instytucji francuskich sądów przysięgłych, sądy w Królestwie przypominać zaś będą t. zw. *Schoeffengerichte* niemieckie. Różnica zaś polegać będzie na tem, że gdy w Cesarstwie sąd koronny i ława sędziów przysięgłych stanowią dwa oddzielne kolegiaty, z których druga orzeka o winie pod sąd, pierwsza zaś określa wymiar kary, w Królestwie przysięgli i sędziowie koronni zasiadać będą razem, a więc decydując jednocześnie o kwestii winy i o stopniu kary.

Z wprowadzeniem powyższej organizacji sędziów przysięgłych do naszego kraju, zniesieniem zostanie również postępowanie apelacyjne w sprawach karnych, podległych sądom przysięgłych, gdyż w myśl ogólnej zasady od werdyktu przedstawicieli sumienia publicznego niema apelacji; podsądny może tylko założyć kasację do Senatu. W dzisiejszych zaś warunkach Izba sądowa sędzi zwykle *in merito* sprawę powtórnie, w większej części wypadków nie widząc ani słysząc podsądnego, którego skazuje lub uniewinnia, ani świadków, na których zeznaniach opiera swój wyrok. Jedynym materiałem jest zwykle protokół sądu okręgowego, ale protokół taki, chociaż najbardziej dokładnie spisany, nie może zawierać tego wszystkiego, na co sędziowie patrzą i co słyszą. Jeżeli podsądny odpowiada za wolności, t. j. za kaucją lub poręczeniem, może być obecnym na rozprawie sądowej lub nie, zależy to od jego dobrej woli; jeżeli znajduje się w więzieniu warszawskim, Izba sądowa nakazuje go sprowadzić do sądu w dzień rozprawy. Ale jeżeli podsądny znajduje się pod kluczem w którymś więzieniu prowincjonalnym, rozprawa toczy się zwykle w jego nieobecności, niepodobieństwem jest bowiem sprowadzać wszystkich podsądnym do Warszawy. Wskutek nawału pracy w Izbie sądowej i niedostatecznej liczby wydziałów, sprawy apelacyjne karne czekają długo na swoją kolej, a chociaż t. zw. «sprawy aresztanckie», t. j. sprawy osób, przebywających w więzieniu, mają pierwszeństwo przed sprawami osób, odpowiadających z wolności, to jednak i one wymagają czasami kilkunastu miesięcy, a podsądni przez ten czas muszą czekać na wyrok pod kluczem.

Wprowadzenie sądów przysięgłych, wraz z zniesieniem postępowania apelacyjnego w sprawach karnych, stanowić będzie niewątpliwie ułatwienie i przyspieszenie wymiaru sprawiedliwości, co powinno być zawsze podstawą każdej reformy sądowej. Idealem wymiaru sprawiedliwości jest zapowiedziany przez Najwyższy manifest, wprowadzający w życie ustawy sądowe 20 listopada 1864 r. «sąd słuszny, szybki i sprawiedliwy», kamieniem zaś węgielnym tych ustaw jest właśnie sąd przysięgłych.

W Towarzystwie higienicznym w tych dniach wygłosiła pani T. Ruppertowa bardzo zajmujący odczyt na temat: «jak lud wiejski spędza niedziele?»

Prelegentka dała wprawdzie tylko opis życia ludu wiejskiego na Kujawach i w części Mazowsza. Oczywiście pierwsze miejsce zajmują nabożeństwa, odpusty i inne obrzędy religijne, na które nasz lud gorliwie uczęszcza. Kazania stanowią temat rozmyślań niedzielnych i rozmów nawet w innych dniach tygodnia. Poza to niedzielę poświęca lud zabawom i rozrywkom. Z usunięciem karczem, życie towarzyskie ogniskuje się w chatach; lud nasz tańczy chętnie, nie brak także i gier towarzyskich. Niestety, zabawy te obchodzą się bardzo rzadko bez «poczęstunku», a co za tem idzie, bez klótni i bijatyk. Byłoby bardzo pożądanym, aby lud nasz o ile możliwości mógł odzwyczaić się od napojów wysokowych i przejść do musujących wód owocowych. Drugą niepożądaną rozrywką są karty i hazard. Poza to lud chętnie słucha muzyki, mniej chętnie śpiewa, gdyż śpiewać nie umie. Zakładanie chórów przy kościołach zachęcałoby z pewnością niejednego do śpiewu. Wogóle, jak słusznie zauważyła prelegentka, należałoby wyzyskać towarzyskość naszego ludu, jego zamiłowanie do zebrań i zabaw, a odpowiednią akcją w tym kierunku mogłaby znacznie ograniczyć dzisiejszą pijatykę i hazard.

Donosiłem już o zatwierdzeniu ustawy kaliskiej kasy posagowej «Wesele». Kasa ta już rozpoczęła swoje czynności i przyjmuje zapisy na członków. Stosownie do wysokości składek członkowskich, dzieli się ona na trzy grupy, w których liczba członków nie może być mniejszą od 201 ani większą od 301. Zapisujący się do pierwszej grupy płać 90 kop., do drugiej—3 rb., do trzeciej—9 rb., z czego $\frac{1}{3}$ stanowi wpisowe, $\frac{1}{3}$ idzie na koszty administracji i utworzenie kapitału rezerwowego, a pozostała część tworzy kapitał na zapomogi dla osób, wstępujących w związku małżeńskie. Gdy który z uczestników lub uczestniczek danej grupy żeni się lub wychodzi za mąż, otrzymuje zapomogę w wysokości, odpowiedniej do swojej grupy; pozostali płać w przeciągu trzech tygodni nową składkę, ale już pojedynczą, to jest $\frac{1}{3}$ część pierwszej składki.

Miejmy nadzieję, że przykład Kalisza zachęci inne nasze miasta do zakładania instytucji wzajemnej pomocy tego rodzaju. Wpływie to niewątpliwie umoralniające na ogólny stan naszego społeczeństwa.

B.

WARSZAWA, 15 lutego.

[s. p. Wrotnowski. Pogrzeb]

+ Wiele w tem prawdy, że sprawiedliwy sąd pośmiertny wydać mogą o wybitnym człowieku, co wielokrotnie stał na świeczniku—jedynie ci, co go blisko znali. Należał do ludzi takich s. p. Lucjan Wrotnowski; patrzyliśmy nań z bliska, więc prawo dziś do głosu mamy.

Był s. p. Wrotnowski przedewszystkiem człowiekiem niezwykle gorącego serca. Pod zewnętrzniemi pozorami rubasznosci i sceptycyzmu ukrywał on głęboką miłość do ludzi. Tę miłość czystą, prawdziwą i gorącą, nie skalaną ambicją osobistą ani prywatną, zachował zmarły do ostatnich dni życia. Ta miłość była głównym drogowskazem jego żywota. Był i pozostał przedewszystkiem idealistą zarówno w życiu prywatnym, jak i

w fachowej pracy adwokackiej, i na arenie działalności publicznej. Z miłości do ludzi płynęły jego zalety i wady. Złoty sercem—aż w końcu pękło mu serce...

Równoważnikiem tego serca, co tak gorąco potrafiło kochać kraj i ludzi i sztukę, były niepospolite zalety rozumu, szybkość orientowania się w różnych kwestjach, niepospolita wiedza fachowa, bystrość kombinacji, zdolność czynna, energia życiowa i żelazna praca. Doskonałym był też—organizatorem. Wzloty orle potrafił zmarły godzić z iście mrowczą pracowitością. Jeżeli inicjatywa górował w społeczeństwie, zdolnością roboczą zdumiewał tych, którzy mieli sposobność widywania go przy pracy. Jak koń rasowy, rwał się naprzód nerwami, to też nerwy miał stargane, a w pracy był nierówny, bo nadchodziły nań—w ostatnich latach coraz częściej—chwile wyczerpania, ale nie zwątpienia. Z chwilowej bezczynności otrząsał się szybko i szedł naprzód z wiarą w zwycięstwo, z wiarą w szczęśliwą gwiazdę—nie własną, bo o siebie dbał najmniej—ale społeczeństwa, dla którego żył i pracował.

W żadnej sprawie publicznej nie wysuwał się zmarły naprzód, jeżeli zaś stał na czele, to tylko wówczas, kiedy uważał, że tego wymaga dobro samej sprawy. Poza to chętnie ustępował innym drogi, wiedzącej do uznania i szacunku. Znane są jego zasługi dla sztuki polskiej na stanowisku wice-prezesa Towarzystwa zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskim, ale nie wszyscy wiedzą o tem, że dzisiejszy wspaniały pałac sztuki zawdzięcza swe powstanie długoletnim zabiegom i niezłomnym staraniom s. p. Lucjana Wrotnowskiego. *Sic vos non vobis!*

Dzięki silnie zarysowanemu indywidualizmowi swej natury, zmarły mógł mieć koło siebie tylko wykonawców, ale nie pomocników. To też jako adwokat nie pozostawił uczniów, nie stworzył szkoły. A wielka szkoda! Wychowany na wzorach francuskich, ten dawny uczeń parryjskiej szkoły prawniczej, żył tradycjami zasad prawnych, które dziś, z racji odmiennych warunków kształcenia się, zaczynają się już zacierać w młodszej generacji palestry naszej. «Patrz na to, co jest w prawie zakazanem, a nie na to, na co pozwala kodeks»—powiadał zwykle zmarły mecenas—nie szukaj pozwolenia, ale zakazu.

Pogrzeb s. p. Wrotnowskiego odbył się d. 13 b. m. od godz. 5 po południu z mieszkania w pałacu ordynacji hr. Krasieńskich przy udziale kilku tysięcy publiczności, wśród której reprezentowane były wszystkie sfery towarzyskie, przedstawiciele instytucji finansowych, artystycznych, prawniczych, literackich i dziennikarskich z naczelniemi redaktorami pism. Długi kondukt żałobny, poprzedzony służbą tramwajów, niosąca płonące pochodnie, prowadził w asystencji duchowieństwa ks. rektor Zygmunt Chelmiecki. Za karawanem postępowali w otoczeniu rodziny i przyjaciół synowie zmarłego. Na osobnej platformie złożono stopy wieńców, między którymi od redakcji «Słowa», od redakcji «Kraju», od «Kolegów», od Tow. zachęty sztuk pięknych w Królestwie Polskim, od warsz. Tow. artystycznego, od komitetu Muzeum przemysłu i rolnictwa. Po przybyciu na dworzec nadwiślański, prze-

niesiono trumnę do wagonu żałobnego, w celu odwiezienia jej do Mławy, a ztamtąd do Dłutowa, gdzie zwłoki złożone zostały w grobie rodzinnym. Na znak żałoby po zmarłym, zasłużonym dla Towarzystwa sztuk pięknych wice-prezesa, wystawę w pałacu sztuki zamknięto w dniu pogrzebu.

Br. Bouffant.

WARSZAWA, 16 lutego.

[Sprawozdanie Kuratorjum trzeźwości. Teatr ludowy. Towarzystwo zachęty. Totalizator. S. p. Wł. Zagórski.]

+ Ze sprawozdania warsz. Kuratorjum trzeźwości za rok ubiegły okazuje się, że dzięki przezornej administracji nie tylko rozszerzono działalność tej instytucji, ale zamknięto rachunki z przewyżką przeszło 1,000 rb. W pojedynczych pozycjach wykazały nieduży zresztą niedobór tylko herbaciarnia na Pradze (1,825 rb. 5 kop.) i teatr ludowy przy ulicy Ciepłej (3,991 rb. 57 kop.) W ogólności Kuratorjum miało r. 1891 189,642 rb. 58 kop. dochodu, a 188,610 rb. 34 kop. rozchodu; jeżeli się zważy, że znaczne koszty pociągnęło za sobą urządzenie herbaciarni i ogrodu publicznego na Muranowie, uporządkowanie parku Aleksandrowskiego na Pradze, zaopatrzenie teatru przy Grzybowskiej w nową lokomobilę i spłacenie ciężących długów z lat poprzednich—to ogólny rezultat nazwać można bardzo pomyślnym. Zabaw ludowych za Wisłą urządzone w roku sprawozdawczym 26 i dwie nadzwyczajne z tombola, przy herbaciarni muranowskiej zaś 41 i jedną zabawę kwiatową. Park Aleksandrowski odwiedziło w tym czasie, t. j. od d. 16 maja do 13 września, 303,242 osoby, muranowski ogród—95,550, czyli ogółem korzystało z zabaw ludowych w ubiegłym sezonie letnim około 400 tys. mężczyzn, kobiet i dzieci ze sfery pracującej. Teatr przy ulicy Ciepłej przyniósł dochodu za bilety 68,879 rb. 5 kop., za programy 709 rb. 40 kop., z bufetu 6,730 rb. 25 kop., zwiedziło go w ciągu roku osób około 240 tys.; teatr letni w parku zarobił 6,921 rb. 40 kop. Najliczniej na widowiska wieczorne uczęszczała publiczność w grudniu, styczniu i lutym oraz w listopadzie, zapelniając przeciętnie $\frac{2}{3}$ sali codziennie; najmniej widzów bywało w czerwcu i lipcu, kiedy z powodu upałów frekwencja spada do połowy.

Po pokryciu wszystkich kosztów i zmniejszeniu znacznej części długów z czasów instalacji, Kuratorjum w roku zeszłym do utrzymania teatru ludowego dopłaciło faktycznie tylko około 3 tys. rb., czyli dało scenie tak małą subwencję, że wobec pożytku, jaki widowiska przynosiły, szczególnie w sezonie letnim, gdy je urządzało po cztery razy dziennie w niedziele i święta, zasilek ten nie powinien nawet iść w rachubę.

Opieka nad trzeźwością ludu w jednej Warszawie tylko zdobyła się na takie dodatnie rezultaty; żadne komitety gubernialne i powiatowe nie mogą się pochwalic nawet stosunkowo tak świetnymi wynikami, bo nigdzie też nie znalazły tak silnego poparcia i nie potrafiły rozwinąć we właściwym kierunku swej działalności z charakterem społeczno-moralnym. Prawda, iż w bilansie każdorocznym pozycja teatru ludowego

wyказuje prawie połowę ogólnej sumy dochodów i rozchodów; prawda też, że ten teatr jest najsilniejszym wabikiem dla szerokiego mas, i że jego brak w programie kuratorów prowincjonalnych wpływa niezawodnie na mniejsze spopularyzowanie zabaw. Dzisiaj jest to już instytucja, bez której szersza publiczność Warszawy odczuwałaby ważną różnicę, do której przywykła i z którą żyła się w ciągu ostatnich lat paru, a ten rozwój i ustalenie się teatru ludowego daje Warszawie pewną wyższość nad wieloma innymi miastami, w których nie umiano, czy nie chiano skorzystać z danych warunków stworzenia sobie tego kulturalnego środka. Dość przytoczyć taki Kraków, w którym, po kilkumiesięcznych i to bardzo pomyślnych próbach, scena ludowa przestała istnieć i musiała zamknąć swoje podwoje, pomimo głosów przychylnych prasy, uznania opinii publicznej, poparcia ludzi dobrej woli i autonomicznej swobody.

Sprawa budowy Domu ludowego zostanie może w roku bieżącym ostatecznie rozstrzygnięta; władze miejskie zgodziły się odstąpić komitetowi opieki plac na Nalewkach naprzeciw ogrodu Krasieńskich. Fundusz, przez rząd udzielony na wzniesienie gmachu, powiększył się w depozycie do 260,390 rb., można będzie zatem rozpocząć budowę, skoro wygotowane zostaną odpowiednie plany. Zaspokojenie tej potrzeby i postawienie osobnego gmachu, w którym znalazłoby pomieszczenie: teatr, sala odczytowa, sala dla tańca, herbaciarnia, czytelnia i t. d., stało się już dzisiaj koniecznością.

Towarzystwo zachęty sztuk pięknych z wiosną zabiera się do budowy nowego skrzydła w swoim pałacu od strony kościoła ewangelickiego; zmusza je do tego względ na wygodniejsze urządzenie wystawy i Muzeum, oraz zobowiązanie testamentowe s. p. z Lindów Góreckiej, która swą nieruchomością zapisała Towarzystwu pod warunkiem, że w przeciągu lat pięciu od jej śmierci (w r. 1900), warunek urządzenia Muzeum wykonanym zostanie, inaczej zapis traci swoją wartość. Rozumie się, iż komitet stara się w interesie instytucji i sztuki uczynić zadość ostatniej woli hojnej testatorki; wice-prezes dr. Karol Benni krząta się też, jak może, aby zaokrąglić potrzebną mu sumę 50 tys. rb. i szuka poparcia u mecenasów sztuki, których najłatwiej mógłby znaleźć wśród... szerokiej publiczności, gdyby ta publiczność miała, obok zamiłowania, większe poczucie obowiązku popierania sztuk pięknych. Towarzystwo wprawdzie osiągnęło niebywałą liczbę 7 tys. członków, ale w mieście, które posiada dziś już stokroć większą ilość mieszkańców, ten procent miłośników malarstwa i rzeźby nie jest znowu tak znacznym, aby go nie można było jeszcze o wiele podnieść, zwłaszcza kosztem marnych 5 rb. rocznie. Obok wystawy w pałacu sztuki urządzono obecnie czytelnię i bibliotekę specjalnych dzieł i wydawnictw, z których członkowie i zwiedzający zbiorą artystyczne bezpłatnie mogą korzystać: sposobność przejrzania co tydzień, w możliwie wygodnych warunkach, wszystkich ważniejszych pism ilustrowanych krajowych i zagranicznych powinno zachęcić, sama jedna, do zapisania się na listę członków.

Niestety, na wystawie niema... totalizatora, a totalizator, to dzisiaj magnes, pociągający tłumy, a wyciągający z najuboższych nawet kieszeni krociowe sumy co roku, podczas sezonów wyścigowych.

Sama myśl śmierci tego smoka, za przykładem odważnej Moskwy, wywołała u nas gorączkowe zajęcie, rozprawy i polemiki. Zawodowi sportsmeni obstarają za nietykalnością tego narzędzia hazardu tłumów, dowodząc, że jego istnienie zapewnia byt stadninom, stajniom, tysiącom ludzi, zajętych hodowlą koni, pośrednio zaś przyczynia się do podniesienia rasy końskiej w kraju etc. etc. Inni znowu zajmują stanowisko opozycyjne i twierdzą, że totalizator większe szkody, niż pożytki przynosi, że, jako publiczny demoralizator, powinien być usunięty z torów wyścigowych, na których zgrywają się do nitki często ludzie, którzy, oprócz dorozkarskich szkap, żadnej innej końskiej usługi przez całe życie nie potrzebują. Stoiczną równowagę w tej drażniącej sprawie zachowuje nasze Towar. wyścigów konnych i spokojnie pozwala spierać się dwóm stronom opinii. Totalizator jest benjaminskim, oczkiem w głowie sportsmenów, dla których koń pełnej rasy ma większą wartość od tysiąca kantorowiczów, urzędników, rzemieślników, kupczyków i t. p. ludzi, przegrywających w ciągu paru godzin całonocne zarobki. Ciekawa rzecz, kto zwycięży: upór hodowców, czy opinia publiczna?... w każdym razie sprawa ta nie tak rychło da się rozwiązać u nas i przewidywać można napewno, że w przyszłym sezonie wyścigowym totalizator obłuskiwać jeszcze będzie tłumy hazardowiczów.

Śmierć zabrała nam znowu jednego z ludzi znanych: zmarł Włodzimierz Zagórski (Chochlik), humorysta, poeta, powieściopisarz, który przed laty kilkunastoma przeniósł się z Galicji do Warszawy i tu pracował gorliwie, zasilając swem piórem pisma codzienne i tygodniowe. Za trumną jego szedł doborowy orszak z inteligencji i śmietanki towarzysstwa. Chochlik był to już człowiek stara się w interesie instytucji i sztuki uczynić zadość ostatniej woli hojnej testatorki; wice-prezes dr. Karol Benni krząta się też, jak może, aby zaokrąglić potrzebną mu sumę 50 tys. rb. i szuka poparcia u mecenasów sztuki, których najłatwiej mógłby znaleźć wśród... szerokiej publiczności, gdyby ta publiczność miała, obok zamiłowania, większe poczucie obowiązku popierania sztuk pięknych. Towarzystwo wprawdzie osiągnęło niebywałą liczbę 7 tys. członków, ale w mieście, które posiada dziś już stokroć większą ilość mieszkańców, ten procent miłośników malarstwa i rzeźby nie jest znowu tak znacznym, aby go nie można było jeszcze o wiele podnieść, zwłaszcza kosztem marnych 5 rb. rocznie. Obok wystawy w pałacu sztuki urządzono obecnie czytelnię i bibliotekę specjalnych dzieł i wydawnictw, z których członkowie i zwiedzający zbiorą artystyczne bezpłatnie mogą korzystać: sposobność przejrzania co tydzień, w możliwie wygodnych warunkach, wszystkich ważniejszych pism ilustrowanych krajowych i zagranicznych powinno zachęcić, sama jedna, do zapisania się na listę członków.

Gama.

+ Prezydent miasta, generał-lejtnant Bi-bikow, zawiadomił prezesa komitetu budowy pomnika dla Chopina, hr. Brochockiego, iż niema przeszkód do postawienia pomnika na dwóch projektowanych miejscach, mianowicie: albo w ogrodzie Saskim przy wejściu z ulicy Marszałkowskiej, albo na placu Wareckim.

+ W lutym r. b. wysyłano pocztą poza Warszawę ogółem 40,382 egzemplarze 10 codziennych pism polskich (w r. 1901 — 38,890, w r. 1900 — 35,185). Jeżeli przypuścimy, że w samej Warszawie rozchodzi się 35 tys. egzemplarzy tychże dzienników, okaże się tedy, że liczba prenumeratorów codziennych pism polskich w państwie rosyjskim wynosi około 75 tys.

+ W Warszawie odbędzie się we wrześniu r. b. wystawa kucharsko-spożywcza. Komitet już utworzono pod przewodnictwem ks. rektora Chelmskiego. Wystawa ma na celu wykazanie postępu, osiągniętego przez wytwórczość krajową, poznanie i nite zagranicy z polską produkcją na tem polu i wyrobienie popytu dla firm krajowych.

+ Przybyły z Paryża dziennikarz Maurycy Tessier, otwiera biuro w celu zasilania korespondencjami pism paryżskich („L'Echo de Paris“, „Femina“, „La Vie au Grand Air“, „Le Vélo“ i „Armée et Marine“). Celem biura ma być zaznajamianie publiczności francuskiej z objawami życia polskiego na polu przemysłu, sztuk i t. p.

+ Zmarł w Warszawie adwokat wileński, Szymon Rubinstein, autor pożytecznego dla historyków i prawników dzieła p. t.: „Skorowidz chronologiczny ukazów i rozporządzeń rządowych, dotyczących Rosji zachodniej, Białej i Małej Rusi od 1652 do 1892 r.“

+ Delegowany przez firmę francuską „Batignol“, prof. Baudin z Paryża, bada na miejscu sprawę budowy trzeciego mostu na Wiśle, na przedłużeniu alei Jerozolimskich. Do sporządzenia pełnego projektu musi przeprowadzić studia na prawym brzegu Wisły, i obecnie czyni starania u władz o uzyskanie pozwolenia. A więc w Warszawie nie drzemają... tylko francuzcy kapitaliści.

++ Z Łodzi piszą do nas: Sezon artystyczny zaczyna się coraz bardziej ożywiać. Wielu wirtuozów zapowiedziało koncerty, instytucje filantropijne krzątają się około urządzenia dorocznych rautów i widowisk teatralnych, a kilku prelegentów warszawskich i miejscowych zamierza wygłosić odczyty publiczne.—Na skutek prośby członków, tutejsze instytucje muzyczne zwróciły się z prośbą do warszawskiego komitetu budowy pomnika Chopina o nadesłanie listy do wpisania ofiar dobrowolnych.—Bawiący temi dniami w Warszawie przedstawiciele przemysłu czeskiego nie zapomnieli i o mieście naszym. Przybyli więc do nas i po wzajemnym porozumieniu się, bliższe zawiązały stosunki handlowe z wybitniejszymi kupcami i fabrykantami łódzkimi.—Jak donoszą pisma miejscowe, zarząd tramwajów łódzkich zamierza prosić o koncesję na dalsze rozgałęzienie linii miejskich. M.

++ Majątek Dębinki w gub. warszawskiej, niegdyś własność Sobieskich, a przed wybudowaniem pałacu w Wilanowie, rezydencja rodzinna króla, został w większej części rozparcelowany za pośrednictwem Banku włościańskiego. Pałac wraz z kilkoma włókami gruntu i ślicznym parkiem, z lipami, zasadzonymi ręką Sobieskiego, znalazł nabywcę w osobie p. Rogozińskiego z Warszawy. Właścicielami Dębinek, po Sobieskim, byli Potoccy, z których ręką wieś przeszła do rąk p. Stefana Czarneckiego, który sprzedał ją starozakonnemu handlarzowi drzewa. Ostatni właściciel odprzedał Dębinki w całości p. Rościszewskiemu, który przeprowadził parcelację. Nowy nabywca, p. Rogoziński, zapewne uszanuje pamięć po wielkim królu.

++ Majestat olimpijski, jakim otaczają się niektórzy urzędnicy średni i niżsi w Królestwie Polskim i w Kraju zachodnim, stał się teraz przedmiotem uwag ze strony niektórych pism petersburskich. Korespondent warszawski dziennika „Now. Wr.“, p. Aleksiejew, nie zaprzeczając faktu pychy urzędniczej, objaśnia go jednak wpływami samego społeczeństwa polskiego. Najprzód więc — mówi p. A. — i wśród Polaków dużo jest „wielkich ludzi“ i nadętych urzędników. Powtóre Polacy bardzo często drażnią urzędników, bo albo umyślnie kaleczą język rosyjski, albo udają, że po rosyjsku nie mówią, choć pokonczyli wyższe zakłady naukowe. Inni znów umyślnie ostrożnie, a boleśnie kłóc urzędnika; wreszcie są i tacy, co wręcz niegrzecznie do niego się zwracają, gdyż mają np. kuzyna w Petersburgu, zajmującego wysokie stanowisko. Wobec tego — zdaniem p. A. — urzędnik za wyniosłość postępowania swego z interesantami kryje się jak za tarczą ochronną; z czasem jednak wyniosłość ta staje się przez przyzwyczajenie drugą naturą urzędnika, który jednakowo już wtedy traktuje wszystkich, bez względu na ich pochodzenie i sposób postępowania.

U W A G I.

Petersburg, 7 (20) lutego.

Jednocześnie z rozpoczęciem pracy przez komisję, powołaną do zreformowania szkół średnich w Rosji, toczyły się rozprawy w Izbie francuskiej nad zmianami w systemie francuskiego wykształcenia szkolnego. Rząd obecny chce pewnych reform w kierunku realnym, nie burząc klasycznych podwalin wychowania. Nie zadawalnia to ani skrajnych klasyków, którzy po za greką i łaciną nic nie widzą, ani skrajnych utylitarystów, którzy chcieli ze szkoły zrobić wyłącznie narzędzie do osiągnięcia realnych warunków życia. Jednych i drugich oblał zimną wodą p. Leygues, minister oświaty. W mowie swej zaznaczył, że trzeba zachować zasady wychowania humanistycznego, które zabezpieczają Francję wpływ na resztę ucywilizowanego świata. Na zachodzie Europy istnieją dwie cywilizacje: łacińsko-grecka i anglo-saksońska. Pierwsza wydała z siebie cywilizację francuską i naród francuzki powinien pozostać wiernym własnym tradycjom, własnemu genjuszowi, własnej roli historycznej. Można przewidzieć, że i te słowa i cała dyskusja w Izbie francuskiej o klasycyzmie w szkole znajdują oddźwięk w Rosji i będą atutem w ręku przeciwników reformy szkoły średniej.

Bardzo ciekawą również była dyskusja w sprawie bezpłatności nauczania w szkołach średnich, o co dobijali się socjaliści. P. Leygues odpowiedział argumentacją, której słusność poparły oklaski ogromnej większości deputatów.

„Naszym ideałem — mówił — jest to, aby wszystkim domniemanym skłonnościom dzieci dać możność kształcenia się, od-

powiadającego wszelkim zamiłowaniem i zdolnościami wieku młodzieńczego. W dniu jednak, w którym wszystkie wydziały uniwersyteckie otworzą się dla wszystkich młodzieńców, staniemy się narodem lekarzy bez pacjentów, adwokatów bez spraw, kandydatów na urzędy bez miejsca i różnego rodzaju pasorzytów. Teraz we Francji, jak zresztą i wszędzie indziej, liczba ludzi, oddających się zawodom wyzwolonym, zadawalnia wszystkie potrzeby społeczne; ale upewniam, że jeżeli ułatwimy do nich przystęp wszystkim, wytworzymy wtenczas pasorzytów społecznych. Sądzę też, że chłop, który w pocie czoła ziemię orze, spełnia równie wzniosłe zadanie, jak i lekarz lub adwokat, i że nie ma racji ten, kto jeden rodzaj pracy uważa za szlachetny, a inny za godny lekceważenia...“

Są to słowa proste i jasne, które jednak powtarzać trzeba nietylko we Francji, ilekroć toczą się rozprawy w dziennikach na temat hyperprodukcji inteligencji.

Lud polski na Szlaku górnym pozostaje pod duchową opieką księży-niemców, albo księży zniemczonych, choć wyszłych z łona ludu. Prowincja szlącka liczy oprócz tego wielu Niemców-katolików. Głową najwyższą wszystkich katolików szląckich jest ks. kardynał Kopp we Wrocławiu, mąż, którego wszyscy uważają za germanizatora. Ale pod wpływem ostatnich szarów hakatystycznych w ks. kardynale zaszła pewna zmiana: niemiecki książę Kościoła potępił hakatyzm, a pisma, zależne odeń, wypowiedziały wprost przekonanie, że nauka religii winna być udzielana Polakom — po polsku. Donoszą nam poufnie, że pruscy ministrowie: spraw wewnętrznych i oświaty, konferowali z ks. kardynałem o środkach zaradczych przeciw wzmagającym się na Szlaku zbrodniom wśród ludu. Kardynał Kopp oświadczył im, że jedynym środkiem zaradczym byłoby wprowadzenie języka polskiego do szkoły. Obaj pruscy mężowie stanowili: „na wszystkichbyśmy pozwolili, lecz nie na język polski“. Ten bardzo znamienity zwrot w przekonaniach narodowych ks. kardynała i ten nastrój ministrów pruskich wobec słusznych praw polonizmu świadczy o coraz większej przepaści, jaka się wytwarza między polityką hakatystycznego rządu a logiką życia. Nawet od dawna przyjazny rządowi berlińskiemu książę Kościoła musiał opuścić jego ścieżki i żądać sprawiedliwości dla ludności polskiej, powierzonej jego opiece pasterskiej.

Dużo wrzawy narobiła w Galicji sprawa ogłoszonej niedawno książki Andrzeja Niemojewskiego: „Legendy“, którą w bardzo ozdobnej szacie wydała lwowska księgarnia H. Altenberga. Książka, będąca literackim opracowaniem tematów ewangelicznych, które utalentowany pisarz warszawski traktował w sposób zbyt literacki, nie licząc się z tem, że dla tysięcy czytelników są one czemś więcej, niż materiałem dla dostarczenia zadowolnień estetycznych, spotkała się z ostrą oceną Adama Krehowieckiego. Krytyka, podpisana jednym z najwybitniejszych nazwisk literackich w Polsce, nie mogła przejść oczywiście bez echa; prócz wrzawy jednak pociągnęła za sobą konsekwencje, których krytyk z pewnością nie miał na celu. Spowodowała mianowicie interwencję prokuratorji państwa. „Legendy“ uległy konfiskacie.

Teń aksjomat rozprawdza następnie w szeregu epitetów, wy-stosowanych pod adresem polityków i dziennikarzy galicyjskich, epitetów, wśród których do bar-

dziej ozdobnych należą: „wydrwisz i zbrodniarze społeczni“, „bezczelna gromada kondotjerów“, „maffja opinji publicznej“, „sfora bezimiennych ujadaczy“, „służalcze i lokajskie plemie“, „ludzie brudnych rąk“, „ciemni i głupi mędrkowie plebsu literackiego“, „furmańskie łapy“ i t. d. i t. d.

Próbki te z obszernej całości, zatytułowanej bombastycznie: „Przeciw upiorom“, dowodzą, że p. Niemojewski stracił zupełnie równowagę.

Zbyt późno wywiązujemy się z obowiązku dziennikarskiego, wspominając o niepospolitym artykule p. Teofila Merunowicza o sprawie rusińskiej, zamieszczonym w ciągu stycznia we lwowskiej „Gazecie Narodowej“. Autor wskazuje czytelnikom fakt, z którym wielu polityków galicyjskich liczy się dotychczas nie chce, fakt, który lekceważą dziś jeszcze różne polskie i rusińskie stronnictwa polityczne, a który z tą nieprzeciętną siłą, z jaką wszelki fakt wszelką zazwyczaj pokonywa teorię, zaczyna nadawać sprawie rusińskiej barwę i kierunek. Faktem tym jest „budzące się w milionach ludu rusińskiego w Galicji naturalne poczucie świadomości narodowej“. Jest to naturalne i proste, a jednak dla wielu dziwne.

Większość Polaków galicyjskich przyzwyczaiła się patrzeć na sprawę rusińską przez tęczową bańkę własnej doktryny politycznej i oglądać te sprawy w takich barwach, jakie patrzący sam ze sobą przynosi.

Ci, co absolutnie nie mogą pogodzić się z myślą, że czas płynie, że narody budzą się do życia, wytworzyli sobie teorię, według której ani Rusi, ani rusinów niema na świecie, a to, co widzimy na rozległych obszarach Galicji wschodniej, to, co się tam rusza, agituje, przemawia, wiecjuje, głosuje, wybiera, jest tylko fabrykatem austrjackim, jest wynalazkiem hr. Stadjona. Ruś, widziana przez taki przyzmat, maleje, znika, rozplywa się we mgłę. Doktryna ratuje sytuację.

Obok tych są inni. Ci widzą wiele, ale, jak Cassandra, widzą wszystko na czarno. Padnie gród Prjama, ale i z greków żaden nie ujdzie cało. Przyjdzie jakaś siła fatalna, która zmiecie najpierw polskość na Rusi, a potem i Ruś samą i zostanie tylko pustka, step, dzikie pole.

Podobny doktryneryzm zaćmie-wa także wzrok politykom rusińskim. Każdy widzi nie to, co istnieje, ale to, co chce widzieć. Jeden ma przed oczyma Ruś hajda-

macją, drugi socjalistyczną, trzeci znowu czarno-żółtą.

A tymczasem „czy kto chce, czy nie chce, ruch narodowy rusiński — według słów p. Merunowicza — wzmaga się i będzie dalej się wzmagać z nieprzerpałą siłą“. Jest to ruch rodzimy, swojski, ludowy, a źródło siły, która go ożywia, leży w szkole ludowej, prowadzonej w duchu narodowym rusińskim, w rozbudzonem od lat kilkudziesięciu życiu publicznem, w prawodawstwie, które zaszczepia w masach ludu nowoczesne pojęcia społeczne. Skoro fakt jest faktem, trzeba się z nim liczyć.

W artykule „Hasła wojenne“, podpisanym przez *Vigilax'a*, a zamieszczonym w numerze 4 naszego tygodnika, znaleźli czytelnicy uzasadnienie zdania, iż akcja, wymierzona przeciw towarom niemieckim, przyniesie wówczas dopiero prawdziwy pożytek społeczeństwu, jeżeli miejsce towaru obcego zajmie towar krajowy, gdyż ostatecznym celem nie jest chwilowe dokuczenie Niemcom, lecz wyemancypowanie się przemysłowe od wszystkich sąsiadów zachodnich.

Zdanie to nie jest odosobnione. Niemal równocześnie ukazał się w „Słowie“ artykuł, przemawiający za zorganizowaniem ankiety przemysłowej dla zbadania importu towarów zagranicznych. Dr. Ant. Donimirski, autor artykułu, wypowiada również przekonanie, iż „byłoby pożądane, aby wyroby przemysłu krajowego mogły zastąpić dowóz zagraniczny“. Myśl tę rozwija autor następnie w następujących słowach:

„Jeżeli wartość towarów, dowożonych z Niemiec, wynosiła w ostatnich latach 230 milionów rubli, to naszym zdaniem byłoby daleko większą dla nas korzyścią, gdybyśmy 20 proc. tego importu mogli w przeciągu paru lat zastąpić wyrobem przemysłu krajowego, choćbyśmy nawet resztę przeważnie z Niemiec sprowadzali, niżeli gdybyśmy cały import z Niemiec zdołali zastąpić importem z innych krajów. A przecież każdy znający stosunki wie, że zupełne usunięcie importu niemieckiego będzie niemożliwe.“

Wspólność zdania nie jest tu dziełem przypadku. Dowodzi ona, że w niejednym umyśle powstały wątpliwości co do pożytku agitacji, skierowanej raczej ku wywarciu zemsty na wrogu, niż ku zapewnieniu większych zarobków rodakom.

Zasadniczym jest błędem powierzanie obcokrajowcowi wykonanie tego, co również dobrze wykonać rodak potrafi; ale dawanie pierwszeństwa zlej robocie obcokrajowca, jest błędem może nawet karygodniejszym, bo praktycznym. Taki błąd popełniono przy odnawianiu katedry na Wawelu. Wykonanie witrażów, mających przyozdobić drogą nam wszyst-

kim świątynie, powierzono—niemcom, pomijając artystów-rodaków tej np. miary, co Wyspiański lub Mehoffer; w dodatku niemiecy dostarczali witrażów bardzo lichych. Nie zawahano się jednak witraże przyjąć i katedrę niemi „przyozdobić“. Witrażów tych nie widzieliśmy sami. Ale przeciw zwracaniu się do Niemców podnosili już głos na wiosnę roku zeszłego w „Kraju“ (Nr. 15) tacy znawcy archeologii i sztuki, jak prof. Kopera i artysta-malarz Lepczy, a tydzień temu korespondent nasz krakowski („Listy krakowskie“) napiętnował owe witraże mianem rzetelnej fuszerki, którą znany z krewkości, ale też i z gorącego do sztuki zamilowania, p. Feliks Jasiński doradzał „potłuc w kawalki“. Mogły wszelakoż nastęrczać się jeszcze subtelne wątpliwości. Kładzie im kres otrzymany przez nas dziś z Krakowa telegram. Donoszą nam, że w dziennikach tamtejszych ogłosili przeciw wawelskim witrażom kategorię *protest* najkompetentniejsi w tej mierze rzeczoznawcy. Protest podpisali wybitni artyści-malacze, profesorowie uniwersytetu, profesorowie Akademii sztuk pięknych, z Jakiem Malczewskim, St. Wyspiańskim, prof. Koperą, Piotrem Stachiewiczem na czele. Rzecz zatem rozstrzygnięta. Witraże złe. Ale protest nawet w najszlachetniejszej sprawie ma tylko wartość zadadniczą. Praktyczny rezultat ma być jaki? Usunąć niemieckie witraże i polecić wykonanie nowych któremu z artystów-polaków? Bardzo to pięknie i chwalebnie, ale witraże niemieckie już zapłacone, a nowe, polskiej roboty, kosztować będą znowuż немало. Łatwo domagać się zastosowania heroicznego środka, ale trzeba też mieć za co go urzeczywistnić. Pytamy przeto: czy fundusze, złożone na odnowienie katedry, są w stanie opłacić błąd popełniony? czy godziwa jest rzeczą szafować niemi w ten sposób? Jeśli nie są w stanie lub nie wypada w ten sposób niemi szafować, tedy protest będzie miał tylko wartość—ostrzeżenia na przyszłość.

GROŹBA WSZECHNICY.

Półurzędowa prasa pruska (a wiemy, ile dzienników w państwie pruskim lubi przybierać pozę półurzędową) pociesza Niemców, zamieszkujących Księstwo Poznańskie, obietnicami wielkich czynów, których rząd dokonać zamierza dla wzmocnienia uciśnionej niemożyny. Jednym z największych atutów w tej partii ma być uniwersytet w Poznaniu.

Założenie nowego uniwersytetu nad Wartą, to nowa groźba, wymierzona przeciw polakom, nowa pociecha dla Niemców. Nie wiemy, czy zapowiedź ta do dała odwagi biednym, przesładowanym niemcom poznańskim. Wiemy natomiast, że polacy się jej nie ulękli, lecz raczej powitali ją z zadowoleniem.

Według nas mają słuszną zupełną. Dobry uniwersytet, choć, niestety, z wykładem niemieckim, może oddać Księstwu, a przede wszystkim Poznaniowi niezaprzeczone usługi.

Dla żywiołów polskich w samem mieście będzie on niemal pomocą materialną. Uniwersytet ściągający do Poznania znaczną część młodzieży polskiej, pobierającej dziś nauki w głębi Niemiec. Przebiegnijmy okiem zastępy studentów

polskich w Berlinie i Wrocławiu, policzmy mniejsze kolonie polskie w Gryfii, Lipsku, Bonn, Halle, Würzburgu, przypomnijmy sobie, że między dwudziestu uniwersytetami niema ani jednego, w którymby, jeżeli nie stałe, to od czasu do czasu nie zjawiało się po paru polaków z zaboru pruskiego, a będziemy musieli dojść ostatecznie do wniosku, że uniwersytet zgrupowałby w stolicy Księstwa kilkuset młodzieńców polskich. Nie ulega zaś wątpliwości, że obok młodzieży miejscowej znalazłaby się tam gromadka studentów polskich ze stron dalszych.

Kto zna stosunki, temu nie tajno, że młodzież polska z Księstwa i Prus, oddająca się naukom wyższymi, jest przeciętnie o pewien procent zamożniejsza od młodzieży z Królestwa. Uwzględniając tę okoliczność, nie dopuścimy się przesady, gdy powiemy, że w Poznaniu zostanie co roku paręset tysięcy marek, które dzisiaj przepadają w głębi Niemiec.

Pieniądze te dostaną się oczywiście polskim mieszkańcom Poznania. Polak najmie pokoił u polskiej rodziny, będzie się ubierał u polskiego krawca. Buty będzie mu robił szewc polski. Wszystkie te zarobki, razem wzięte, nie odgrywałyby wielkiej roli w mieście takim, jak Warszawa. Ale świat polski w Poznaniu jest sam dla siebie bardzo małym światem. Jest to jakgdyby osobne małe miasto. W mieście małym stały dochód kilkakroćstutysięczny jest czynnikiem ważnym.

Alle oprócz krawca i szewca zarobi polski księgarz, dyrektor teatru polskiego, polski grajek, polski śpiewak. Obok uniwersytetu skupić się musi kolo ludzi nieco starszych, jak lekarze, pracujący w klinikach, lub młodzi uczeni, szperający w bibliotece uniwersyteckiej, a gro no tej dojrzalejszej młodzieży będzie mogło wyrzeć niezmiernie dobroczynny wpływ na podniesienie gustu polskiej publiczności teatralnej i na układ repertuaru.

Tu wkraczamy już w sferę moralnych skutków wielkiej kreacji rządowej. Niepodobna przypuścić, żeby obecność kilkuset młodzieńców nie wpłynęła na ożywienie życia towarzyskiego, w dobrem, znacnem znaczeniu tego wyrazu, żeby nie dała Poznaniowi tej intelektualnej towarzyskości, za którą, jak to nieustannie słyszemy, tęsknią ci mieszkańcy tego miasta, którzy zakosztowali jej w Warszawie lub Krakowie.

To wszystko zapisze Poznań w dziele aktywów. A młodzież? Młodzież zyska podwójnie. Spędzając bądź cały czas studjów, bądź pewną ich część w kraju, wejdzie następnie w życie praktyczne z większą znajomością stosunków krajowych, z większą znajomością polskiej literatury, polskiej sztuki, polskiej atmosfery umysłowej. To korzyść jedna.

Wszyscy zaś wiemy, że dla niejednego młodzieńca lepiej jest nie biedz zaraz po ukończeniu gimnazjum w świat daleki, lecz być jeszcze przez czas jakiś

w pobliżu rodziców. Pod tym względem młodzież polska nie stanowi wyjątku. Bywają między młodymi francuzami tacy, którzy zdrowiej i normalniej rozwijają się, odbiegłszy od rodzinnego za kątka i znalazłszy się wśród paryzkiego mrowiska. Są atoli i tacy, których usposobienie wymaga, by zostali przez parę półroczy w Nancy, w Tuluzie, w Montpellier, niezbyt daleko od domu. We wszystkich krajach powtarza się to samo.

Niech więc niemiecy straszą, ile im się podoba. Poznań się nie boi, bo nie ma czego.

Mon.

POD GROŹBĄ WOJNY CELNEJ.

Z Rosieńskiego.

Przewidywana w niedalekiej przyszłości wojna celna najdotkliwiej da się odczuć całemu pograniczu, a zatem i naszemu powiatowi rosieńskiemu, gdyż zostaniemy pozbawieni najbliższych rynków zbytu. Rada związkowa w Niemczech z projektem taryfy celnej już się bardzo gładko załatwiła, a ponieważ i w parlamencie taryfa ta ma zapewnioną większość, więc musimy przewidywać, że nowy cios uderzy w nasze znekane gospodarstwa rolne. Zmienić zaś lub w jakibądź sposób oddziaływać na to, co ma nas spotkać, nie mamy możności, a więc *le destin est en marche*. Ale z tego nie wynika jeszcze, żebyśmy mieli spokojnie wyczekiwać chwili, w której agrarjusze niemieccy zechcą nam wymierzyć owe *coup de grace*. Bynajmniej. Zajrzyjmy raczej niebezpieczeństwu śmiało w oczy, rozpatrzmy się w położeniu i zastanówmy się nad tem, jak się przystosować do nowych warunków. Warunki te dotkną, jak wiadomo, najbardziej produkcję ziarna, gdyż Rosja jest dotychczas głównym dostawcą zboża na rynki niemieckie, z wyjątkiem pszenicy, którą przeważnie dostarcza Ameryka, a także kukurydzy.

Pozwolimy sobie stwierdzić to kilku cyframi, które dotyczą r. 1900. Z przywiezionych do Niemiec 893,333 tonn żyta, sama Rosja dostarczyła 834,328 tonn. Jęczmienia dostarczamy mniej więcej połowę całego importu, na przywiezionych 781,488 tonn—381,171 tonn, i owsa na 462,351 tonn—389,071 tonn. W dostawie pszenicy, jak już mówiliśmy, pierwsze miejsce zajmuje Ameryka, dostarczająca—przy 1,293,864 tonnach importu—935,863 tonny. Rosja zaś tylko 278,196 tonn. Wartość ogólna czterech wymienionych gatunków zboża, dostarczanych przez Rosję na rynki niemieckie, wynosi w okrągłych cyfrach 100 milj. rb. Jeżeli przy obowiązującym obecnie traktacie handlowym z Niemcami, otrzymywane ceny na zboże nie opłacały dostatecznie pracy naszego rolnika, jakże oczekiwać tego w przyszłości, przy odmiennych o wiele gorszych warunkach?

Oczywistem jest, iż przewrót w naszych gospodarstwach rolnych będzie się musiał dokonać bezwarunkowo. Będziemy zmuszeni po pierwsze zmienić wytwórczość, przechodząc od przeważnej produkcji ziarna do uprawy traw pastewnych, do gospodarstwa mlecznego, hodowli inwentarza i produkcji mięsa, a powtóre—spożytkowywać u siebie w kra-

ju wywożone dotychczas surowe produkty, wysyłając na rynki zagraniczne towary bardziej cenne, jak np. masło i mięso.

Dla Litwy i Królestwa Polskiego produkcja masła może mieć stanowczo wielkie znaczenie w przyszłości. Bliskość rynków zbytu, warunki klimatyczne, obfitość łąk i pastwisk, wszystko to przemawia za rozwojem gospodarstwa nabiałowego. Jak wielkiego znaczenia mogłoby dla nas nabrać odpowiednio rozwinięte gospodarstwo mleczne, za przykład może posłużyć Danja. Kraik ten pod względem obszaru nie większy od gub. kowieńskiej, o ludności wynoszącej półtrzecia miliona, w przeciągu pierwszych 10 miesięcy r. 1901 dostarczył na rynek angielski 1,359 tys. centn. masła, wartości 7,545 tys. funt. szterl. Gdybyśmy tylko połowę tego wyprodukowali, co mała Danja, wyniosłoby to już całą wartość wywożonego rocznie żyta z Rosji do Niemiec. Obecnie zaś wywóz masła z Rosji do Anglii w przeciągu pierwszych 10 miesięcy r. 1901 wyniósł niepełną 355 tys. centn., wartości 1,553 tys. funt. szterl. Stosunkowo biorąc, jest to nadzwyczaj mało.

Wszakże zaznaczyć należy, iż postęp w tym kierunku już się uwidatnia, gdyż wywóz masła z Rosji w przeciągu pierwszych dziesięciu miesięcy r. 1900 na tenże rynek angielski wyniósł zaledwo 183 tys. centn. Rozwój gospodarstwa mlecznego przyczyniłby się jeszcze do ulepszenia hodowli trzody chlewnej, a więc do produkcji wieprzowiny, dobrze opłacanej na rynkach angielskich.

Wywóz ptaictwa na rynek niemiecki (w r. 1900 za 9 milj. rb.), zapewne też upadnie. Zwiększony wywóz jaj do Anglii (w r. 1900 na 10 milj. rb.), mógłby wyrównać ten niedobór w dochodach małych gospodarstw.

Trudność położenia naszych rolników tem się jeszcze obostrza, iż przewidywany przewrót w gospodarstwach musi się dokonać przy bardzo niepomyślnych warunkach. Znaczne odłuzenie ziemi, wycieńczona rola, chyba nie mogą sprzyjać zaprowadzaniu zmian, tembardziej, że to wszystko trzeba będzie załatwiać w sposób nagły, przyspieszony.

Wobec naszych warunków mleczarnie spółkowe byłyby najodpowiedniejszym typem. Oddzielne gospodarstwa nasze nie produkują wielkich ilości mleka, przy małych zaś ilościach koszt pochłaniają zbyt wiele, a produkt otrzymuje się gorzszy. Mleczarnie spółkowe w powiecie rosieńskim rozwijają się zupełnie pomyślnie, a w Danji oraz w Niemczech stanowią one zwykłe zjawisko. Na tysiąc pięćset kilkadziesiąt mleczarni, które Danja posiada, tysiąc sto jest spółkowych i liczba ich wzrasta z roku na rok kosztem pozostałych. Ciekawość to bardzo kraj—ta mała Danja. Zapoznanie się z tamedniem mleczarstwem, z organizacją handlu masłem, byłoby dla nas niezmiernie pouczającym. W przeciągu r. 1901 wywóz z Danji tylko trzech produktów, mianowicie: masła, mięsa wieprzowego i jaj powiększył się przeszło o 10 milj. rb. w stosunku do roku poprzedniego. Rosieńskie Tow. rolnicze przez wzgląd na to, iż powiat nasz może być uważany za kolebkę rozwijającego się przemysłu mlecznego, może być uznano za właściwe zaproponować są-

siednim towarzystwom rolniczemu zbiorową wycieczkę do Danji, w celu przyjrzenia się tamtejszym urządzeniom i porządkiem. Nie pociągnęłoby to za sobą wielkich kosztów, wycieczka zaś taka mogłaby być dla nas w skutkach doniosłą.

Karmazyn.

PRZEGLĄD PRASY.

— Ogłoszone ostatnimi czasami w dzienniku «Nowoje Wremia» artykuły, mówiące o potrzebie *zbliżenia się Słowian, a zwłaszcza Polaków i Rosjan*, według oświadczenia tegoż dziennika nie przebrzmiały bez echa, gdyż w odpowiedzi na nie redakcja otrzymała szereg listów, których autorowie—polacy netylko uznają korzyść tego zbliżenia się, ale nadto poruszają niektóre myśli nowe. Jeden z nich mianowicie pisze, iż Rosja, jako silniejsza, powinna pierwszy krok na tej drodze zrobić, i kiedy to się stanie, wówczas będzie można oczekiwać słowiańskiego Bismarka, który urzeczywistni ideały słowiańskie, t. j. zjednoczy wszystkich Słowian.

„Autor listu—odpowiada dziennik—nie zupełnie zrozumiał myśl naszą. Rosja ma do rozwiązania zanadto wiele wewnętrznych zagadnień narodowościowych, aby mogła myśli i pragnienia swoje przerzucić po za granice własnego terytorjum i mówiąc o zbliżeniu się wszystkich Słowian, a w tej liczbie i Polaków, rozumieliśmy, oprócz naszej wewnętrznej kwestji polskiej, moralną solidarność wszystkich Słowian z sobą i z Rosją, nie uciekając się do pobrękiwań metalem, które tak łatwo stają się pustemi dźwiękami. Bismark, stworzywszy epokę „krwi i żelaza“, spędził ostatnie lata „nie przy robocie“ i jego, oparta na przemocy idea jednoczenia została zastąpiona przez zasadę jednoczenia pokojowego. Jeżeli nawet możemy mieć na względzie Słowiańszczyznę zagraniczną, zachęcając ją do pomyslenia o czemś, stojącym na linii „zbliżenia“, to tylko w takim znaczeniu, w jakim np. pojmują to Niemcy austriacy, poszukujący kulturowego zbliżenia się do współplemienników z państwa niemieckiego. Taką dążność analogiczną do kulturowego, moralnego, naukowego i literackiego zbliżenia się z Rosją mogłoby okazać czesi, rusini i zagraniczni polacy, poszukując takiego samego ośrodka ideowego w wolnej, samodzielnej i wielkiej Rosji. W tem znaczeniu, pragnienia, wyrażone we wspomnianym liście, jeżeliby znalazły szerokie i mocne poparcie w polskim społeczeństwie i prasie, stałyby się tym „pierwszym krokiem ze strony polskiej“, który psychologicznie i pod każdym innym względem ułatwiłby Rosji starania o zabezpieczenie i poparcie Słowiańszczyzny.

„W każdym jednak razie, nawet bez „słowiańskiego Bismarka“, w Rosji można dużo zrobić dla wewnętrznego, umysłowego i sercowego zbliżenia się wzajemnego Słowian. Wspomniemy tu o jednej okoliczności, która—jak nam się zdaje—najbardziej zbija Polaków w zamkniętą grupę nerwowo i samolubnie nastrojonych ludzi, którzy się od nas odgradzają. Mamy na myśli ustawę, wymagającą, aby dzieci z małżeństw mieszanych koniecznie wyznawały religję panującą.“

Dziennik zaznacza, jakiego by były wyniki przypuszczalne zniesienia tej

ustawy: przede wszystkim małżeństw mieszanych zawieranych więcej; różnica wyznania wśród członków jednej rodziny, którzy się kochają, rozdziłaby zmianę poglądów dotychczasowych na charakter tych wyznań, w rodzinie więc katolickiej, której członkiem stałaby się osoba prawosławna, zaniknąćby musiało uprzedzenie względem prawosławia, wskutek czego znów młodsze jej pokolenia chętniejsze były do małżeńskich związków mieszanych. Dalej na tym gruncie zrodziłyby się warunki do bliższego poznania się dwóch plemion, do ich zbliżenia się i zlania. Przewaga wygranej byłaby po stronie Rosjan, jako liczniejszych; „polacy—mówi dziennik—będą u nas czerpać szklankami, a my wiadrami.“

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE.

Dworskie.

× D. 31 stycznia (13 lutego) wybrana przez szlachtę gruzińską deputacja, miała szczęście przedstawić się Ich Cesarskim Mościom Najjaśniejszym Państwu w pałacu Zimowym. Członek deputacji, gubernialny tyfliski marszałek szlachty, odczytał adres do Tronu. Jego Cesarska Mość, wysłuchawszy adresu, uszczęśliwił deputację następującymi słowami: *«Cesarzowa i Ja jesteśmy bardzo radosi widzieć was wszystkich tutaj i znowu usłyszeć zapewnienie o waszych uczuciach wiernopoddaniczych, o których Ja nigdy nie wątpię. Proszę oświadczyć Moje podziękowanie szlachcie gruzińskiej za wyrażone uczucia. Mam nadzieję, że w krótkim czasie razem z Cesarzową odwiedzimy drogi Nam Kaukaz»*. W sobotę, d. 2 (15) lutego odbył się w pałacu Zimowym obiad dla deputacji szlachty gruzińskiej. Jego Cesarska Mość Najjaśniejszy Pan podczas obiadu raczył wygłosić toast następujący: *«Szczęśliwy jestem, że jeszcze raz podejmuję was u Siebie. W imieniu Ich Cesarskich Mości Najjaśniejszych Pań i w swoim osobistym, piję za wasze zdrowie i za pomyślność drogiej Nam szlachty gruzińskiej»*.

Urzędowe.

× Zamianowani zostali: jekaterynowski marszałek szlachty A. P. Strukow—dyrektorem nowoutworzonego departamentu szlacheckiego w ministerstwie spraw wewnętrznych; dyrektor departamentu spraw ogólnych w ministerstwie spraw wewnętrznych, rz. r. st. Trepow—gubernatorem taurydzkim; gubernator kowieński, rz. r. st. Rogowicz—dyrektorem departamentu spraw ogólnych w ministerstwie spraw wewnętrznych; gubernator suwalski, rz. r. st. Watazzi—gubernatorem kowieńskim; dyrektor gimnazjum w Rydze, rz. r. st. Bielawski—członkiem głównym zarządu prasy; prokurator charkowskiej Izby sądowej, rz. r. st. Dawydow—starszym prezesem Izby sądowej w Odesie.

W Petersburgu.

— Domy dla robotników. W Petersburgu zawiązuje się „Towarzystwo budowy

dzeniem, ani groźbami, ani żadnym innym sposobem do przejścia na jej własne wyznaczenie, że następnie dzieci, spłodzone w małżeństwie, będą chrzczone i wychowywane w religii prawosławnej. W Królestwie, po dopełnieniu obrzędu ślubu religijnego przez duchownego prawosławnego, wolno małżonkom żądać dopełnienia tego obrzędu i przez duchownego strony, która nie należy do wyznania prawosławnego. Za niedopełnienie warunku co do wyznania dzieci, spłodzonych w takim małżeństwie, winni podlegają karze więzienia na czas od 8 do 16 miesięcy; dzieci muszą być od nich odebrane i oddane na wychowanie krewnym wyznania prawosławnego, albo mianowanym przez rząd opiekunom tegoż wyznania (art. 190 kod. kar.). W r. 1894 wydano przepisy, podług których, przy zawieraniu związków małżeńskich między prawosławnymi i katolikami, nie są wymagane zapowiedzi w kościele katolickim; wzajemnie ich strona katolicka może przedstawić poświadczanie policji o nieistnieniu przeszkód zawarcia ślubu.

Nr. 1079. (W. St. Lask. w Kvr.). Projekt kolei żelaznej Bologoje-Siedleckiej będzie niebawem rozpoznawany w Komitecie ministrów. Do robót na dystansie Polock-Siedlce mają przystąpić jeszcze w tym roku; linja ta przecina pow.: osmiański i lidzki. Punkta przyszłych stacyj kolejowych nie są ostatecznie wytknięte. Znaczniejsze uchylenia od projektowanego kierunku nie są przewidywane, pewne jednak modyfikacje mogą nastąpić. Linja, wycięta przez las, ma oznaczać środek przyszłego toru — możliwym jednak i tu jest pewne odstąpienie od pierwotnie wytkniętej linji.

Nr. 1092. (W. A. B. Z. w Warsz.). Przepisy o karach za nauczanie tajne wydrukowali w *extenso* w N-rze 48 r. 1900. Mogą być stosowane kary pieniężne do 300 rb., lub areszt do 3 miesięcy. W notatce w N-rze 50 zwróciliśmy tylko uwagę na sposób stosowania tych kar, to jest, że decyduje tu administracja, nie zaś sądy, jak w Rosji. W Królestwie mogą być urządzone lekcje prywatne, zbiorowe, za uprzednim zawiadomieniem władzy naukowej i policji; na Litwie koniecznym jest pozwolenie władzy. Zwracamy uwagę na konieczność umieszczenia na listach, do nas adresowanych, nazwiska i adresu; w zasadzie na listy bez podpisu nie odpowiadamy.

ZĄSLUBINY I ZARĘCZINY.

W kościele pp. Wizytek w Warszawie odbył się ślub p. Karola Epsteina, syna Leopolda i pierwszej jego małżonki Konstancji z Janaszów, z panną Heleną Kronenberg, córką sędziego Wiktora Kronenberga i Józefiny z Goldstandów.

W Warszawie, w kościele po-Reformackim odbył się ślub p. Antoniego Feista syna Aleksandra, z panną Stefaną Nencką. D. 4 lutego r. b. w kościele św. Witalisa we Włocławku pobłogosławiony został związek małżeński pomiędzy panną Janiną Lewandowską a p. Leonem Ostoją-Zagórskim.

D. 29 stycznia r. b. w kościele Reformatorów we Lwowie odbył się ślub panny Alfredy-Mirosławy Turowskiej z dr. med. Teofilem Zalewskim.

W d. 21 stycznia, we Włocławku, pobłogosławiony został związek małżeński pomiędzy p. Stefanem Grodzickim, dziećcem dóbr Chromowola, a panną Marją Gostomską.

W dniu 4 lutego, w kościele Farnym w Piotrkowie, pobłogosławiony został związek małżeński pomiędzy p. Aurelią Wiatrowską, córką Teofila i Józefy z Zielińskich, a p. Mikołajem Bończa-Tomaszewskim.

W Krakowie 8 lutego odbył się ślub p. Jana-Kazimierza Krasickiego z Lipna na Po-

lesiu, syna Józefa, b. właściciela Karczewa w W. Ks. Poznańskim i s. p. Wandy z Lutomskich z panną Marją Kleczyńską, córką s. p. Józefa Kleczyńskiego, rektora i profesora Wszechnicy Jagiellońskiej.

W kościele św. Barbary w Krakowie odbył się ślub Stefana hr. Moszyńskiego z Marją hr. Ledóchowską.

D. 5 lutego w Cher, we Francji odbył się zaślubiny p. Karola Paskiewicza, wnuka znanej w towarzyskich kołach francuzkich hr. de La Rupelle, z panną Małgorzatą de Raucourt de Mimérand, córką p. de Rancout de Mimérand i małżonki jego z domu de Chesne.

Dnia 27 stycznia odbył się ślub panny Mury, córki Antoniego i Wandy z Ursyn-Pruszyńskich Zadorów, z p. Bronisławem Szląkiewiczem, adwokatem, synem s. p. Polikarpa i Wiktorji z Ursyn-Pruszyńskich Szląkiewiczów. Obrzęd ślubny odbył się w kaplicy pałacowej w Pszenicznikach (gub. kijowska pow. kaniowski); ślub dawał ks. A. Kelus, przy licznych zjeździe krewnych i znajomych.

W Warszawie odbyła się uroczystość złotych godów małżeńskich Matjasa Bersona, powszechnie szanowanego obywatela, pracownika na polu archeologii krajowej i filantropa, oraz małżonki jego Marji z Lewych. W uroczystości wzięły udział instytucje dobroczynne i dziatwa ochronek, których jubilat jest założycielem albo opiekunem. Dla upamiętnienia uroczystości, rodzinna złożyła na ręce jubilatów fundusz na cele dobroczynne.

DONIESIENIA.

KSIĘGARNIA I SKŁAD NUT FERDYNANDA HOSIOKA, wydawcy Biblioteki ilustrowanej dla młodzieży w Warszawie, przy ul. Senatorskiej № 496, posiada zawsze na składzie wszelkie nowości literackie we wszystkich językach: Przyjmuje prenumeratę na wszystkie pisma w kraju i zagranicą wychodzące. Główny skład Globusów, Tellurji i Planetarji.

Warszawski Zakład Ginekologiczny
Marszałkowska 45.

D-rów Boryssowicza, Brühla, Gromadzkiego, Jaskłowskiego, Kuniewicz, Natansona, Thiemego, Tyrchowskiego i Winawera, przyjmuje osoby, dotknięte chorobami kobiecymi, jako też spodziewające się słabości. Oplata dzienna od 1.50 do 5 rb.

Zakład dla zbroceń mowy

(niemota, jakanie, bełkotanie i t. d.) D-RA OLTUSZEWSKIEGO, Warszawa, Marszałkowska 67 (internat dla dzieci upośledzonych umysłowo).

NEKROLOGJA.

LISTA ZMARŁYCH.

† Dąbrowski Władysław, urzędn. sądu Okręgow. w Warszawie, lat 42 — także. Kleczkowski Jan dr. 1. 49 — w Warszawie. Korczak-Fur Cezary, obyw. ziemski, 1. 68 — w Warszawie. Millaty Adam, były nauczyciel Instytutu głuchoniemych, emeryt, 1. 84 — w Warszawie. Pobóg-Dłużewski Józef, radca Tow. kred. ziemsk., obyw. ziemski, 1. 59 — w Warszawie. Przyłuski Feliks, b. ob. ziemski, 1. 78 — w Warszawie. Rościszewski Walenty, ob. ziem., 1. 84 — w Warszawie. Rubinstein Szymon, adwokat wileński, 1. 66 — w Warszawie. Wotkowski Andrzej, b. kupiec, 1. 70 — w War-

szawie. Zagórski Włodzimierz, poeta-literat, 1. 67 — w Warszawie. Zalewski Michał, adwokat przysięgły, 1. 52 — w Warszawie.

† Budzyński Edward, lekarz, lat 51 — w Radomiu. Padęga August, naucz. śpiewu i muzyki, 1. 53 — w Łęczycy. Wittek de Witte Radziśław, jenerał-major — w Tyflisie.

† Dutkiewicz Jan, art.-malarz, 1. 83 — w Inowrocławiu. Gruszecki Benedykt, 1. 40 — w Krakowie. Gumpłowicz Henryk, dr., 1. 32 — w Krakowie. Madejewski Feliks, wice-prezydent krajowego sądu wyższego, 1. 77 — w Krakowie. Niemyska baronowa Justyna z hr. Lanckorońskich, 1. 83, w Krakowie. Pogorska Irena z Mikuckich, 1. 76 — w Rzymie. Siedlecki Jan, ksiądz, 1. 73 — w Krakowie. Winkler Stanisław, 1. 26 — w Davosdorf.

EKONOMISTA.

PRZEGLĄD.

Niemiecka taryfa celna w niebezpieczeństwie. Kwestja traktatu w Rosji. Dostarczanie podwód obywatelskich dla wojska. W sprawie drobnych oszczędności.

Niemiecka taryfa celna, dzieło jeźli nie rak, to ducha agrarjuszów pruskich, została nagle na niebezpieczeństwo narażona, i to ze strony najmniej spodziewanej, bo przez własnych jej ojców duchowych, t. j. przez samych agrarjuszów. Dla zrozumienia tego, trzeba się cofnąć myślą w przeszłość i przypomnieć sobie warunki, w jakich projekt taryfy powstał. Otóż projekt ten, układany pod niewątpliwym naciskiem niemieckich warstw ziemianiskich, był jednak rodzajem kompromisu pomiędzy żądaniami partji agrarnej, a uznawanymi przez rząd potrzebami reszty państwa. Wskutek tego już zaraz przy wniesieniu projektu taryfy celnej do parlamentu, agrarjusze protestowali przeciwko zbyt niskim według ich mniemania cłom od zboża i bydła. Na protest ten zapatrywano się z początku jako na manewr polityczny, mający służyć za przeciwwagę dla oburzenia sfer przemysłowo-handlowych i robotniczych, potępiających myśl o nowej taryfie. Kiedy jednak opozycja partji agrarnej zaczęła przybierać coraz groźniejszy charakter, rząd niemiecki zdobył się wreszcie na krok stanowczy. Na zebraniu więc rady rolniczej, kanclerz Rzeszy, hr. Bülow, oświadczył, że rządy związkowe upatrują w zwyżce cel zbożowych, przewidywanej w projekcie nowej taryfy celnej, *maximum* ustępstw na rzecz rolnictwa, oraz, że wszelkie sięgające dalej żądania nie mogą być uwzględnione, bo wywołają niechybny upadek całego projektu taryfy.

Odpowiedzią na to oświadczenie było zwołanie przez najskrajniejszy odłam agrarjuszów pruskich, t. zw. *«Bund der Landwirthe»*, zebrania przedstawicieli rolnictwa, od junkrów wschodnio-pruskich i pomorskich do chłopów kilkunastomorgowych, którzy, zgromadzeni w liczbie około 8 tys. osób w cyrku Buscha w Berlinie, jednomyślnie oświadczyli, że na rządowy projekt taryfy się nie zgadzają. «Chcemy takich cel, które od razu postawią na nogi całe rolnictwo, albo nie chcemy nic. Wolimy raczej, żeby cały projekt upadł, bo w takim razie trzeba będzie rozwiązać parlament i ogłosić nowe wybory, które zapewnią nam większość. W przeciwnym razie trzeba znowu parlament rozwiązać i powtórzyć to dotąd, dopóki nie osiągniemy celu».

Jest to, jak widzimy, wyraźne wypowiedzenie wojny. Ciekawa rzecz, co z tym fantem pocnie p. Bülow, bo o zatwierdzeniu projektu taryfy mowy być nie może, wobec przerzucenia się potężnej i liczbą i wpływami partji junkrów pruskich do obozu przeciwników. Tymczasem zaś, stosownie do zastrzeżenia w obowiązującym dziś układzie celnym, projekt zmiany w traktacie handlowym winien być złożony stronie drugiej nie później, jak na rok przed upływem terminu, t. j. w roku bieżącym; w przeciwnym zaś razie umowa obowiązuje na rok jeszcze. W chwili obecnej najprędzej można się spodziewać właśnie tej ostatniej ewentualności.

W Rosji praca nad projektem nowego układu z Niemcami rażno się posuwa. Specjalnie utworzona przy wydziale handlu i przemysłu sekcja traktatowa gromadzi niezbędny materiał statystyczny i informacyjny: osobni delegaci, werbowani z pomiędzy profesorów i specjalistów, składają memorjały, świadczące o stanie oddzielnych gałęzi przemysłu i handlu krajowego i o zależności ich od stosunków celnych, poczem cały ten materiał poddany zostaje zestawieniu i krytyce w osobnych, perjodycznie zwoływanych komisjach, które, stosownie do otrzymanych rezultatów, opracowują projekty zmian w terażniejszej taryfie celnej. Przedwstępna ta robota organów urzędowych ma być zakończona przed 1 marca, poczem na wiosnę rozpoczyna się obrady komisji celnej z udziałem przedstawicieli handlu i przemysłu, która określi ostatecznie wysokość cel i sposób ich pobierania. W jesieni projekt nowej umowy handlowej z Niemcami poddany zostanie decyzji władz wyższych, poczem, o ile stosunki polityczne nie ulegną zmianie, projekt ten zakomunikowany będzie urzędowym sferom niemieckim.

Na potrzebę uregulowania jeszcze jednej sprawy zwraca uwagę sfer rządowych «Warsz. Dn.» Jest to doniosła dla ziemian naszych kwestja dostarczania podwód obywatelskich dla wojska w Królestwie Polskim, na zasadzie przepisów wydanych jeszcze w r. 1859. Od tego czasu liczba wojska tam konsystującego wzrosła 10-krotnie i wynosi obecnie 250 tys. żołnierzy, wypadki zaś uruchomienia oddziałów wojska wobec nowoczesnych wymagań sztuki wojennej są znacznie częstsze. Wedle obliczeń urzędowych, podczas manewrów każdorocznych potrzeba codziennie pod przewóz wojska i taboru około 3 tys. podwód jednokonnnych. Licząc, że manewry trwają 21 dni, z czego 7 odchodzi na dniówki, pozostaje dni pochodowych 14, a że każdego dnia wojsko robi przecięciowo 20 wiorst, wypadnie więc ogółem 280 wiorst pochodu. Wynagrodzenie od wiorsty i konia wynosi po 2 kop., suma więc wynagrodzenia ogólnego, jakie właściciele 3 tys. podwód otrzymają, uczyni 16,800 rb. Tymczasem, licząc cenę jednej podwoły z człowiekiem, według cen wolnego najmu, po 2 rb. za 20 wiorst, rzeczywisty koszt przewozu wojska równałby się 84 tys. rb. Do tego dodać trzeba, że władze cywilne wzywają podwoły obywatelskie na punkty zbornie co najmniej o jeden dzień wcześniej, że dojazd tam i z powrotem wymaga również pewnej straty czasu, i że wreszcie często wojsko się opóźnia, a podwoły muszą czekać na jego przybycie. Nadto rozlokowanie wojska w kraju jest nierównomierne, skutkiem czego niektóre okolice ponoszą ciężary podwodowe w stopniu znacznie wyższym, niż inne. Wszystko to razem skłania «Warsz. Dn.» do wyprowadzenia wniosku, iż byłoby daleko racjonalniej zamienić tę powinność naturalną na podatek pieniężny, rozłożony na całą ludność państwa. Podatek wpływałby do skarbu, a skarb płaciłby za podwoły według cen, istniejących w danej okolicy. Ze swej strony popieramy ten projekt tem chętniej, iż ześrodkowanie właśnie na zachodniej granicy państwa wielkich ilości wojska czyni u nas dzisiejsza powinność podwodową szczególnie uciążliwą.

Z powodu przyjazdu do Warszawy Jana Szczepanika, niektóre pisma wystąpiły z zachętą lokowania krajowych kapitałów w przedsiębiorstwa, wyzyskujące wynalazki naszego rodaka. Z tego powodu «Gazeta Losowa» zamieszcza artykuł w sprawie drobnych oszczędności, w którym broni poglądu, naszym zdaniem, zupełnie słusznego. Chodzi mianowicie o rozstrzygnięcie pytania, czy kapitały drobne mogą i powinny być pociągane do udziału w przedsiębiorstwach, mających na celu eksploatację nowych wynalaz-

ków. Otóż «Gaz. Los.» jest stanowczo temu przeciwna, gdyż wszelkie nabywanie patentów przemysłowych jest z konieczności skojarzone z poważnym ryzykiem, na które oszczędności klasy pracującej nie mogą być narażane. Obok bowiem takich przykładów, jak np. szalone powodzenie wynalazku palników Auera, znamy jeszcze więcej wypadków ruiny przedsiębiorstw, eksploatujących nowe wynalazki, że przypomniemy tu tylko o patencie Bergmana na suchą destylację drzewa i odpadków zwierzęcych, który przyprowadził słynne Towarzystwo kasselskie o stratę 177 milionów marek. Kierując się tem, poczytywalibyśmy wraz z «Gaz. Los.» za poważny błąd wyzyskiwanie głośnego i sympatycznego nazwiska Szczepanika do przyciągnięcia drobniejszych kapitałów, celem eksploatacji jego pomysłów, z których nie wszystkie zupełnie się powiodły. Obecnie np. spółka w Barmen, wyrabiająca patrony (wzory dla tkalni) Szczepanika, rozwiłała się z powodu nieosiągnięcia pożądanego rezultatu. Nie idzie za tem, aby ten wynalazek, odpowiednio ulepszony, lub inne wynalazki Szczepanika, chlubił przez specjalistów oceniane, zawiody oczekiwania; ale do wyzyskania ich stawać winny tylko możliwe syndykaty finansowe, przygotowane do mniejszych lub większych strat w razie czasowego niepowodzenia.

J. G—r.

O KASĘ ROLNICZĄ NA PODOLU.

Feliks hr. Sobański złożył 100 tys. rubli na rzecz kasy oficyalistów rolnych, a więc czas już pomyśleć o najodpowiedniejszym i najłatwiejszym projekcie utworzenia tej ważnej instytucji dla oficyalistów rolnych.

Mojem zdaniem, najprędzej możnaby kasę taką utworzyć, gdyby właściciele ziemscy zechcieli nałożyć na siebie rodzaj podatku, np. po 3 kopiejki z dziesięciny. Oficyaliści ze swej strony wnosiliby po 5 proc. od otrzymywanego rocznego wynagrodzenia. Aby kapitał mógł urosć do większych sum, należałoby przez przeciąg pierwszych lat pięciu emerytury nie wypłacać, a tylko w wyjątkowych wypadkach wypłacać członkom, *respectively* wdowom ich, pewne jednorazowe zapomogi.

Podaję kilka statystycznych danych o ilości majątków ziemskich w gub. podolskiej oraz ich obszarze. Majątków ziemskich, począwszy od 200 dziesięcin (mniejszych bowiem majątków tu nie zaliczam, gdyż na takich właściciel przeważnie sam gospodaruje), jest 1,329, a ogólny ich obszar wynosi 1,283,985 dzies.; jest, mianowicie, majątków na Podolu, liczących

od 200 —	500 dziesięcin	446
" 500 —	1,000 "	492
" 1,000 —	2,000 "	257
" 2,000 i wyżej	"	134

Ponieważ jest sporo majątków większych, można liczyć po 3 oficyalistów na każdy majątek, co więc przeciętnie dawałyby 3,987 oficyalistów. Przypuśćmy, że przeciętnie każdy z nich pobiera 350 rb. rocznego wynagrodzenia, a zatem wszyscy razem pobierają 1,395,450 rb. Gdyby płacił do kasy 5 proc. od tej sumy, wyniosłoby to rb.

przy innych robotach, przedewszystkiem zaś przy układaniu nader skomplikowanego wiązania nad wielką aulą. Tabaczyński był w sobotę, ale przed założeniem belek, a Strawa zachodził kilka razy, ale zakładania belek nie widział, bo w poniedziałek z rozkazu Wolanowskiego musiał też dozorować robót na gmachu chemicznym, gdzie oddalono dozorę.

Otóż Tomczak wziął za krótkie belki, które nie przechodziły przez grubość muru. Ciężar więc gżemu przeważał, zanim zdolano ułożyć attykę i gżem runął we wtorek rano, druzgocząc rusztowania dolnych pięter i kalecząc ludzi, którzy byli na rusztowaniach i na dole.

Eksperci orzekli, iż zamierzona konstrukcja gżemu była najzupełniej prawidłowa, technicznie znana i używana jeszcze za czasów greckich—tak zbudowane były gżemy w świątyni Parthenonu; katastrofa była spowodowana przez użycie zbyt krótkich belek, i nawet w tym wypadku można by jej było uniknąć, gdyby zdolano ułożyć attykę. Konstrukcja taka, zdaniem ekspertów: Lüdersa, Piotrowskiego i Tolwińskiego, mogła być powierzona doświadczonemu podmajstrzem i specjalnej uwagi budowniczego nie potrzebowała.

Po zamknięciu śledztwa, głos zabrał podprokurator Dolopczew, który na wstępie zaznaczył, że sprawa ta zasadniczo różni się od zwykłych spraw budowlanych; niema tu mowy o nadużyciach, o fuszerece; popełniono jedną omyłkę, która spowodowała tak wielkie nieszczęście. Niemniej jednak śmierć i kalectwo wielu ofiar nastąpiły z winy oskarżonych, którzy też muszą nieść za to odpowiedzialność. Ma on wiele uznania i szacunku dla pracy i talentu Szyllera, ale jednocześnie mniema, że on właśnie jest głównym winowajcą w tej sprawie, gdyż zamało zwracał uwagi na wykonywanie robót, za dużo brał na swoje barki, zamało miał pomocników, zamało wymagał pilności od innych. Wogóle przy budowie nie było porządku, używani byli ludzie nieudolnieni i za to on, Szyllera, musi odpowiadać. Następnie oskarżyciel popierał swoje twierdzenie dowodami ze sprawy; poczem przeszedł kolejno do określenia winy każdego z oskarżonych, żądał uznania ich winy i ukarania więzieniem.

Przedstawiciel powództwa Wardzyńskiej, adw. przys. Korenfeld, w patetycznych wyrazach parafrazował dowody podprokuratora i uzasadniał swoje powództwo, domagając się zasądzenia na rzecz jego klientki 4,800 rb. Poszkodowany Tolak prosił o przyznanie mu 1,000 rubli.

Z obrońców pierwszy przemawiał adw. przys. Rymowicz: «Pp. sędziowie! z trwogą i obawą pełnię obowiązki obrońcy, nie dlatego wszakże, abym choć na chwilę wątpił o zupełnej niewinności mego klienta. Przeciwnie, teraz, po wysłuchaniu śledztwa sądowego, jestem silniej jeszcze niż przedtem przekonany, iż ani jedna kropla krwi ofiar katastrofy 3 lipca, ani jedna lza wdów lub sierot nie obciążają sumienia Stefana Szyllera. Boję się nie tego: obawiam się, czy poddam przedstawić wam jasno nagromadzony w ciągu 4 dni materiał sądowy, boję się utartych poglądów na sprawy budowlane. Dlatego też wdzięczny jestem p. prokuratorowi, że na samym wstępie zaznaczył różnicę tej sprawy od innych tej kategorii: tu niema mowy o fuszerece, o nadużyciach; wszyscy, od wielkich do małych, sumiennie swój obowiązek pełnili, oddając całą swą wiedzę i talent. Po za tem jednak ani w jednym twierdzeniu nie mogę się zgodzić z oskarżeniem. Najprzód, gdzież nieład? Gdzież chaos, o którym nam mówiono? Czyż tego może dowodzić mylna data w kilku asygnatach, pisanych w pośpiechu? To rzecz kancelaryjna, gdzie nieład techniczny? Powiedziano, że oprócz Szyllera i Tabaczyńskiego, działali ludzie zupełnie nieudolni, niezdatni do roli, którą odegrywali. Najpierw więc Tomczak: malują go jako niezdare, nic nie umiejącego, nawet mówić. Ależ czyż można sądzić z zachowania się Tomczaka-podśadnego, z tłumaczeń się jego nieudolnych przed wami o Tomczaku-mularzu? ależ to zachowanie się—to może fortel obrońcy i, powiem, wcale niezły. Tomczak-mularz pracował w ciągu roku przy politechnice, wykonał całą masę robót skomplikowanych, wykonał wszystkie gżemy w miejscach bardziej trudnych i wykonał świetnie—stwierdziły to oględziny na miejscu i ekspertyza—wykonał bardzo złożoną konstrukcję gżemową w przeddzień katastrofy—to świadczy, czy był on zdatny do swej roli lub nie. Że nie miał dyplomu, toż przecie dyplomu na podmajstrzych nie zna prawo, a dobrze wykonana robota, wykazana wada—jak orzekli sami eksperci oskarżenia—więcej dla nich znaczy, niż dyplom lub świadectwo cechu. Strawa też ma być do niczego. Nie poparł tego twierdzenia oskarżyciel żadnymi argumentami; na odparcie jego przytoczył tylko zeznania Wetzlera, Urbaniaka, Ostrowskiego, i sądzę, że te dostatecznie malują nam Strawę, jako energicznego i znajdującego się na kunszcie dozorcę. Opieliński i Wolanowski też jakoby niezdatni do swej roli—o roli ich opowie wam ich obrońca, ja tylko zaznaczę, że podług świadec-

stwa Rogójskiego, Opieliński jest tak wyborym technikiem, że świadek nie uważał za ujmę sobie zasięgać jego rady w niektórych kwestiach technicznych i kilka razy zmieniał zamierzoną konstrukcję według jego wskazówek; jeżeli więc taki człowiek zobowiązał się przed komisją budowlaną do pełnienia funkcji majstra mularskiego, zamiast majstra cechowego, to czyż miał Szyller jaką zasadę protestować? Szyller i Tabaczyński i podług oskarżyciela byli na swoim miejscu—to mnie zwalnia od rozpatrzenia ich kwalifikacji. Teraz o pośpiechu. Był istotnie pośpiech, ale to nie zbrodnia. Muszę tylko odeprzeć z całą energią i stanowczością jedną myśl, rzucaną przez oskarżenie, mianowicie o § 10 kontraktu...

«Nie mogę zrozumieć, jak dziś, po wysłuchaniu śledztwa sądowego, mógł mój przeciwnik wypowiedzieć coś podobnego. Przecież to jego świadek, i świadek wyższy nad wszelkie podejrzenie—wice-prezes komisji budowlanej Iwanisow stwierdził tu przed wami, iż w czerwcu 1900 r. nie było już mowy o zachowaniu terminu, wskazanego w kontrakcie—to była rzecz oddawna zdecydowana. Jakżeż więc można podsuwać wam myśl, iż pośpiech w robotach był wywołany przez chęć ukończenia ich w terminie kontraktu, aby nie stracić umówionego na rzecz budowniczych wynagrodzenia? Jest to tembardziej niepojętem, że tenże świadek Iwanisow powiedział wam więcej: bo wyjaśnił powody, dla których ten pośpiech był niezbędny i wymagany od budowniczych przez komitet. Oto instytut już był otwarty, lokal czasowy nie odpowiadał przeznaczeniu, zagrażało zamknięcie lub przerwanie zajęć, jeśliby conajrychlej nie wykończyć i nie oddać do użytku zakładu. Więc nie dla siebie, nie dla marnego zysku wybijali się z sił budowniczowie, ale dla zadośćuczynienia potrzebie społecznej. Usuniecie więc z myśli waszej to zdanie prokuratora, jako uwłaczającą oskarżonemu Szyllerowi, a nietylko nie opartą na niczem, ale wprost sprzeczną z wynikiem śledztwa insynuację! Dlaczego Szyller miał jednego pomocnika? Dlatego, że w każdej budowie chodzi o jednolitość myśli, planu, wykonania; budowniczy musi mieć jednego najbliższego pomocnika, z którymby dzielił wszystkie myśli i plany. Gdyby ich było kilku, to w takiej gorączkowej robocie, jaką jest każda skomplikowana budowa, prostym rzeczy porządkiem jednemu z pomocników powiedziałby jedną myśl, drugiemu inny szczegół, ztąd nieporozumienie i chaos. Nie, główny pomocnik może być tylko jeden—tym był Tabaczyński,

a oprócz niego było jeszcze całe biuro, 11 a czasem 12 ludzi, z których część kreśliła, a część ciągle była na budowie i wykonywała decyzje budowniczego, jak to wyjaśnił świadek Iwanisow».

Następnie obrońca szczegółowo wyjaśnił sposób prowadzenia robót i wszystkie dane, dotyczące katastrofy, i zakończył temi słowy: «Cóż więc zarzucić Szył.—wadliwość konstrukcji? tej nie było; brak dozoru? Porozumiejmy się, co nazwać dozorem. Akt oskarżenia i oskarżyciele zarzucają mu, że nie widział tych nieszczęsnych, zakrótkich belek, ależ czyż to mamy rozumieć pod dozorem, czyż taką ma być rola budowniczego, czyż on ma widzieć na własne oczy, jaką cegłę, jaką belkę kładzie każdy z 3 tys. robotników? Toż żeby to zrobić, on musiałby się pomnożyć przez 3 tys. i jeszczeby zadaniu nie sprostał, bo któżby myślał o całości, kto byłby głową i duszą tej roboty? Nie taki dozór ma na myśli prawo; dozór musi być uorganizowany tak, żeby na miejscu byli technicy, którzyby dawali wskazówki, do którychby podmajstry mogli zwrócić się po wyjaśnienie, żeby były plany i szablonny. To wszystko było, organizacja była wyborna, stwierdziło to śledztwo sądowe. Dlaczegoż więc zaszło nieszczęście? Przyczyna jest tak jasna, że mówić o niej nie wypada, a przewidzieć ją było nie sposób. Robota była wyjaśniona, zrozumiana i nie nowa, materiał odpowiedni leżał we właściwym miejscu—zaszło coś niepojętego. Jest to tylko jeden dowód jeszcze, iż za słabi jesteśmy, aby wszystko obliczyć, wszystko przewidzieć, wszystkiemu zapobiedz, i kiedyśmy wszystko zrobili, co zrobić byliśmy w stanie—los wszystko w niwecz obrócić może. Potwierdza to i smutna statystyka. W Prusach np., tam, gdzie tak dokładnie i akuracnie wszystko jest dokonywane, w r. 1890 przy budowach liczono 1 nieszczęśliwy wypadek na 174 robotników, a w r. 1893 na 119. Nie sądzicie jednak, żeby tylko robotnicy padali ofiarą groźnych budowli. Przed paru laty w Medjolanie, podziwiając wspaniałą galerję Wiktora-Emanuela, wyczytałem, iż słynny jej twórca Giuseppe Mengoni zginął, spadając z rusztowania, na kilka miesięcy przed otwarciem. Przytoczę przykład bliższy. Przed

laty 40, tu w Warszawie, cieszył się uznaniem młody budowniczy Teofil Szyller. Podczas katastrofy przy budowie któregoś z dworców kolei Wiedeńskiej, uległ on ciężkiemu nieuleczalnemu kalectwu, które go wkrótce zapędziło do grobu. Syna jego, Stefana, macie teraz sądzić; czyż przypuszczacie, iż ten, kto w dzieciństwie widział kalectwo ojca, z matką i rodzeństwem oplakiwał jego stratę przedwczesną, może być, jak to chcą oskarżyciele, obojętnym na bezpieczeństwo robotników, niedbałym o ich los? Jestem przekonany, że po rozważeniu wszystkiego, uznacie, iż miałem rację twierdzić, że ani jedna kropla krwi, ani jedna lza nie spada na jego głowę».

Obrońca Tabaczyńskiego, adw. prz. Świeszewski: «Po wyczerpującem przedstawieniu sprawy przez mego koleżę, mowa moja będzie krótka, jak krótkim było oskarżenie mego klienta, jak nieznaczna jego rola w całej tej sprawie. Zaznaczywszy, iż w akcie oględzin dokumentów, sporządzonych przez sędziego śledczego, znajdują się te słowa: «o udziale Tabaczyńskiego w budowie politechniki w dokumentach niema żadnej wzmianki», mówca przechodzi do argumentacji prokuratora, do której—zdaniem jego—dałoby się zastosować rosyjskie określenie: «pogląd i coś jeszcze». Żaden z punktów art. 1059 kod. nie może być zastosowany do Tabaczyńskiego, dlatego też mówca przekonany jest, iż sąd go uniewinni. Następnie obrońca zajął się rozpatrzeniem powództwa cywilnego, dowodząc, że żądania powoda są sprzeczne z prawem i ze sprawiedliwością, gdyż życie Wardzyńskiego było zaasekurowane przez przedsiębiorcę robót i suma, należna wdowie i dzieciom, jest do ich dyspozycji złożoną.

Obrońca Opielińskiego i Wolanowskiego, adw. przys. H. Ettinger, w wyczerpującem przemówieniu krytykował stronę prawną oskarżenia, dowodząc, że na mocy ustaw i kontraktów jego klienci nie mogą wcale nieść odpowiedzialności karnej za wypadek przy ul. Nowowiejskiej.

Obrońca Strawy, adw. przys. W. Lemański: «Szyller i jego współpracownicy w zadziwiająco szybkim czasie dokonali dzieła wspaniałego, dzieła, które będzie stanowiło ozdobę i chlubę miasta, a zamiast wa-

wrzynów, przygotowano im ławy oskarżonych i sąd, zapominając o przyjętej powszechnie zasadzie: zwycięzców nie sądzą! Przechodząc do charakterystyki samego wypadku, powiada mówca: «Przypuśćmy, iż wezwany do niebezpiecznie chorego sławny lekarz zaordynował odpowiednie lekarstwo, pomocnik jego dojrzał, aby lekarstwo zostało przyniesione, dokładnie zazyte; następnie zaś, gdy nadszedł czas powtórzenia dawki, dozorczyńni, przez pomyłkę czy nieuwagę, zamiast lekarstwa dała choremu zazyć jadu, przygotowanego dla opatrunku—i chory umarł. Czyż za to wina spada na lekarza i jego pomocnika?» Analizując dalej postępowanie Strawy, obrońca wykazuje, iż zawsze dokładnie i pilnie spełniał swoje obowiązki i w danym razie spełnił; że był na budowie gżemu, zapytał czy materiał odpowiedni wzięto, zobaczył go jednak nie mógł, bo belki leżały pod kupą innych materiałów; gdy zaś przychodził w poniedziałek, to belki już były wmurowane i niewidoczne. Więc winy jego niema i musi być uwolniony od odpowiedzialności.

Oskarżony Tomczak dowodził, że działał, jak mu wskazano, a jakie belki były potrzebne—tego nie wie.

Poczem prosił o głos adw. przys. Korenfeld, modyfikując swoje żądania i potwierdzając je temiz dowodami; replikowali mu obrońcy Świeszewski i Ettinger, dowodząc bezpodstawności prawnej jego żądań.

Następnie prezes udzielił ostatecznego słowa oskarżonemu, z czego skorzystali Strawa i Tomczak, nie dając nic nowego do poprzednich wyjaśnień.

Po postawieniu pytań, sąd udał się na naradę i po 1 1/2 godzinnych debatach, w dniu 4 lutego, ogłosił wyrok, mocą którego budowniczy Stefan Szyller większością głosów uznany został za winnego i skazany na 2 tygodnie odwachu wojskowego, oraz na wypłacenie odszkodowania Wardzyńskiej 1,500 rubli i Tomczakowi 57 rb. 60 kop.; inni oskarżeni zostali uniewinnieni. Termin dla ogłoszenia wyroku w formie stanowczej oznaczono na 15 (28) lutego.

Zarówno prokurator, jak obrońca Szyllera zamierzają odwołać się od wyroku sądu do Izby sądowej.

PYTANIE DO NAGRODY.—Kto najmniej szanuje swoją narodość? — Niemiec, bo dzieciom polskim zaszczenia ją... z tyłu.

Kijów, Kresczatik 7,

vis-à-vis Hotelu Angielskiego.

SPECJALNY MAGAZYN ARTYKUŁÓW MĘSKICH MACIEJEWSKI & OSTROWSKI

Przyjmują zamówienia na garderobę i utrzymują na ten cel stały wybór sukna i kortów wyłącznie zagranicznych.

Polecają bieliznę wszelkiego rodzaju, kapelusze, czapki podróżne, rękawiczki, krawaty, chustki do nosa, skarpetki, portfele, portmonezki, nesesery, perfumy, laski i parasole. KAMIZELKI BIAŁE i FANTAZYJNE. ARTYKUŁY SPORTOWE i PODRÓŻNE.

Towary li tylko wyborowe. Ceny umiarkowane stałe. Krój garderoby, jak również bielizny, udoskonalony.

Zamiejscowe zamówienia wysyła się za zaliczeniem. (779)

Eleganckie koszule Wytworne krawaty

z ładnym gorssem, angielska pika—gotowe i na obstalunek. do wysokich kamizelek, gotowe i do wiązania. Ceny bardzo przystępne.

JOCKEY-CLUB,

Newski pr. № 40, obok Wołgsko-Kamskiego Banku.

Wielki wybór kołnierzyków i mankietów angielskich i tutejszych. (4110)

Piękne pikowe Kamizelki dla Fraków.

Ojciec (czytajac gazetę). «Zmarła wczoraj w mieście naszym Karolina Z. urodziła się w r. 1798, żyła zatem w trzech stuleciach».
Szciolecia Zosia. Wielka mi sztuka! Ja sama żyłam w dwóch stuleciach!
(Lust. Bl.)

RZADKA OKAZJA DLA KAPITALISTÓW.

12,000 kw. metrów ziemi z jednym małym, dwupiętrowym muirowanym domem (Villa Rusche Ecoissaise). Cudne położenie na słonecznej stronie góry Cimiez. Najbardziej arystokratyczne miejsce w Nici, ze ślicznym widokiem na miasto Niceę i na morze. Miejscowość w kulturze, zasadzone oliwkami i innymi tropikalnymi roślinami, dostateczne do budowy trzech willi, woda w miejscu, pięć minut drogi od elektrycznego tramwaju. Obok tej willi miejsca były placone po 35 franków za kwadratowy metr; cena sprzedającej się ziemi po 10 franków za kwadratowy metr, albo zgadzają się zamienić na dom lub ziemię w bliskości Petersburga. Plany i szczegóły u C. Mundingera, skład fortepianów i pianin. Petersburg, M. Italjańska d. 2, róg Litejnego prospektu. (4112)

Zawiadamiamy, iż Pan Cz. Kamiński upoważniony jest do przyjmowania w Petersburgu ogłoszeń do «Kraju». (4000)
Administracja «Kraju».

NOWOŚĆ



Tlenowa woda „Oxygen” zdrowy i odświeżający napój stołowy dla zdrowych i chorych.

Dostać można w aptekach, aptek, magazynach, hotelach, restauracjach i handlach win.

Michał Łojowski, właściciel 1-szej w Rosji fabryki wody tlenowej «Oxygen» w Petersburgu, Petersburgska strona, Wielki prosp. № 61. (4113)

SKROMNE OGŁOSZENIE.
«Od jutra, sprzedaję wszelką bieliznę tak tanio, że wstydę się ceny tu wymieniać. B. Fufalkiewicz. Ulica Krótkodługa № 102».

Ogłoszenie firmy KROHN BROTHERS & C^o na Maderze.

Pozwalamy sobie zwrócić uwagę Sz. Publiczności, że w celu większej gwarancji pochodzenia i naturalności znajdujących się w sprzedaży znakomitych naszych win Madera, wprowadziliśmy etykietyki, deponowane przez nas w Departamencie handlu i przemysłu. Celem zaś przeszkodzenia, żeby butelki, opatrzone temi etykietykami, nie były użyte do win innego pochodzenia, opatrzyliśmy etykietyki tasimeczką, za pomocą której można etykietykę rozerwać i tem samem uniemożliwić dalsze jej użycie. Upraszamy Szanowną Publiczność, dla ogólnego dobra, zrobić użytek z tych tasimeczek w sposób wyżej podany.

Patent Państwa Rosyjskiego na powyższy sposób niszczenia etykietyki został nam przyznany 28 grudnia 1895 r. i każdemu korzystaniu z tego patentu przez nieuprawnionych do tego, będziemy umieli przeszkodzić na drodze prawnej. (4103)

Zwracamy uwagę Sz. Publiczności jeszcze i na to, że tylko całe, a nie pół-butelki z powyższymi etykietykami mogą być w sprzedaży.

Nowoodnowiony Hótel „ERMITAGE”.

Petersburg, Newski prospekt, róg Znamieńskiej ulicy № 116—2. Pokoje od 1 rb. do 10 rb. na dobę. (4107)

Upraszamy szan. czytelników, aby zamawiając lub kupując przedmioty reklamowane w «Kraju», lub wogóle korzystając z działu ogłoszeniowego, raczyli powoływać się na «Kraj», jako na źródło, z którego informacje swoje zaczerpnęli. Takie powoływanie się wpływa bowiem na rozszerzenie ogłoszeń «Kraju».

Kompletne instalacje oświetlenia elektrycznego i elektrycznego przeniesienia siły. Krany elektryczne, stacje centralne, tramwaje elektryczne. Osob.



Parowe maszyny, Kotły i pompy wszelkich systemów i wielkości.

ROSYJSKIE Towarzystwo elektryczne „UNION”. Petersburg. — Ryga. Olszewicz & Kern.

Warszawa. — Kijów. — Odesa. — Charków. — Jekaterynosław. — Sielec. — Sosnowiec. — Łódź.

Lokomobile Henryka Lanza. Armatury, wentyle, krany, manometry, wakuometry, termometry, noże ryflowane, rury różnego gatunku, pasy skórzane i z szerści, stal narzędziowa, pilniki, bloki i wszelkie przedmioty techniczne dla cukrowni i zakł. technicznych.

bowe i towarowe pompy szachtowe z motorami elektrycznymi, podziemne kolejki elektryczne i t. d.



(790)

Automatyczne wag do zboża, buraków cukru, węgla i t. d.

Nowość! TORT SURFIN

nadzwyczaj smaczny, od 1 rb., można nabywać tylko

W CUKIERNI „MODERNE”,

Petersburg, Zagorodny pr. № 23, naprzeciw ulicy Iwanowskiej.

Nowe pieczywo: LEA, MARGARITA, AMERIAS. (4109)

BIURO TECHNICZNE

A. Bukowiński i J. Ślaski

w Kijowie, Kresczatik № 35.

Przedstawicielstwo Sangerhauseńskiej fabryki maszyn. Budowa cukrowni i rafinerji. Dostawy do fabryk cukru. Armatura, pompy. Pasy fabryki Temler & Szwede. Przyrządy laboratoryjne. Urządzenie stacyi selekcyjnych i meteorologicznych. Nasiona buraczane selekcyjne. (725)

Rysować i malować

uczy po domach były uczeń petersburskiej i warszawskiej Szkół Rysunkowych, obecnie słuchacz na pedagogicznych kursach przy Akademji Sztuk Pięknych. Adres: Wasiljewska Wyspa, Wielki prospekt № 4, m. 11. Proszę porozumiewać się listownie. (4070)

Dla rozwoju

PRZEMYSŁU ROLNEGO

potrzebny wspólnik lub wspólniczka z kapitałem 10,000 rb. Oferty nadsyła się do Redakcji «Kraju». (4078)

Piekarnia i Cukiernia

sprzedaje się z powodu choroby właściciela. Informacje: Petersburg, Władimirskaja d. 3, m. 34. (4105)

!!!BRYCZEK!!!

WIELKI WYBÓR

poleca (1179)

Warszawska Fabryka

99. Aleje Jerozolimskie 99.

Dom meblowany

M. I. Muchina.

Petersburg: Mojka 61, Kirpicznij 8 i W. Morska 16.

Belle etage znacznie powiększone.

Ceny od 1—15 rb. na dobę i od 30 do 300 rb. miesięcznie. Telefon, wanna, elektryczne oświetlenie. Na bahnofach wzywać konduktorów. (4111)

Radzimy spróbować smaczne

Obiady

po 50 kop. (4045)

Jekateryńska ulica № 4. Obok księgarni Grendyszyńskiego.

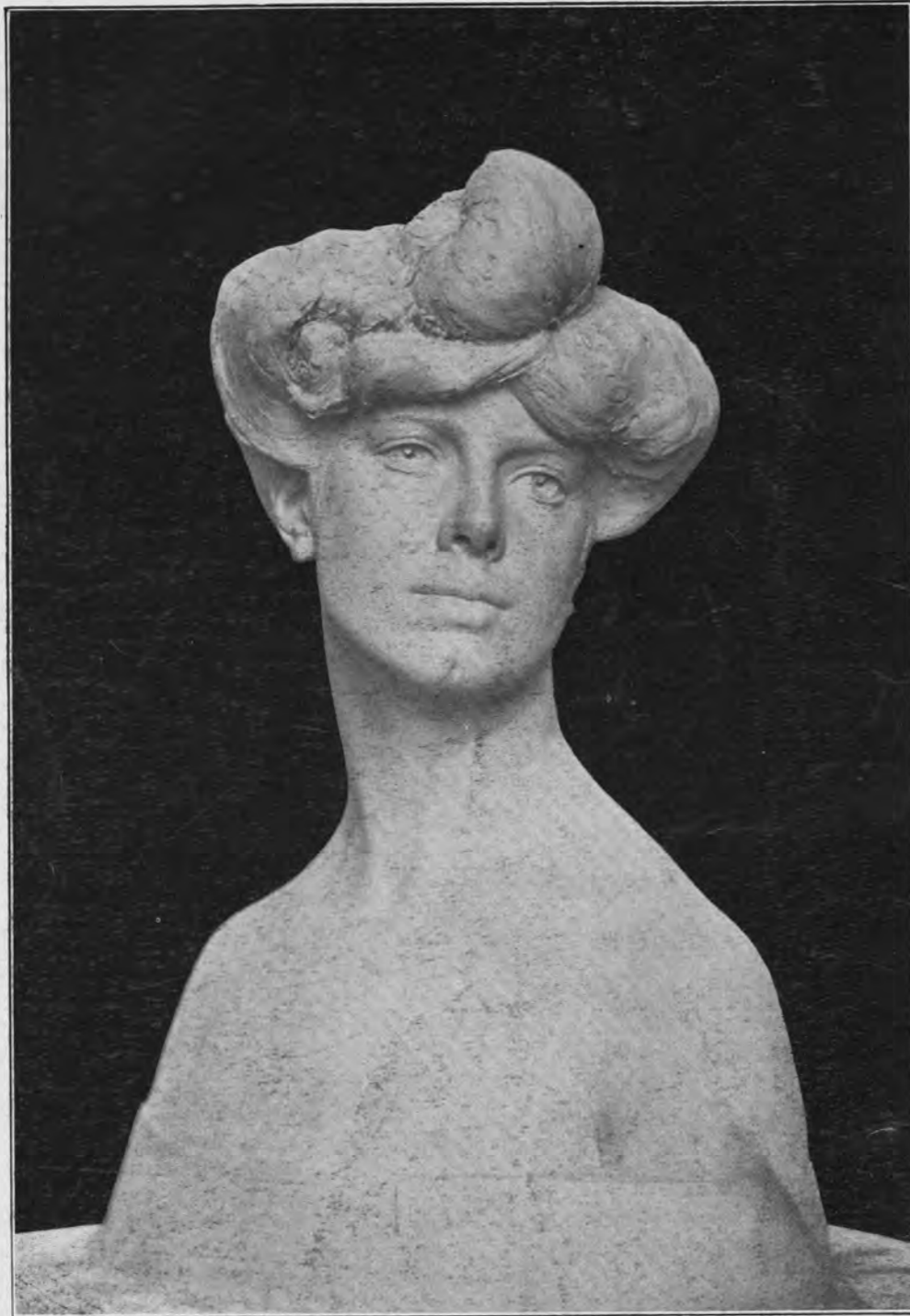
ŻYCIE I SZTUKA

PISMO DODATKOWE, ILUSTROWANE.

„Kraj“

Petersburg, 8 (21) lutego 1902 r.

№ 6



„PORTRET“ RZEŻBA K. LASZCZKI.
ALBUM „KRAJU“.

O Zagłobę.

[Nie omylił się, twierdząc, że stałym „Kraju“ czytelnikom nie potrzebujemy szczegółowo przypominać artykułu Ludw. Straszewicza, zatytułowanego „Zagłoba“, a zamieszczonego w № 50 r. ub. Zestawił w nim autor Falstaffa z Zagłobą, dwa typy, stworzone przez wyobraźnię pisarską, ale znamienne — z powodu, że literatura jest odbiciem życia i istoty narodów. „Przez dwa wieki — pisał Straszewicz — czyni Zagłoby napełniały historję naszą. Zagłoba — to ten robak, co podcinał przez dwieście lat z okładem korzenie politycznego bytu Polski. Sienkiewicz, kreśląc Zagłobę, dał upadku państwa polskiego — pra-przyczynę. Sąd ów, wybiegający daleko poza krytykę pojedynczej postaci, obudził żywe dyskusje, wywołał sporo odezwo i listów, do „Kraju“ nadesłanych. Nie jesteśmy w stanie przytoczyć tutaj w streszczeniu różnorodnych tych opinij. Z głosów „przeciw“ wyjmujemy oto najobszerniej sformułowaną, gorącą, szczera, a niezmiernie charakterystyczną „rehabilitację Zagłoby“. Ze sfer wyszła ziemiańska; oddajemy ją, bez zmian żadnych, pod sąd i wrażenie czytelników.

Mości Panie Redaktorze!

Pocziwego Zagłobę pozwoliliście odrzeć ze czci i wiary; zrobiono mu nawet najcięższy, jaki można zrobić, zarzut: że był pra-przyczyną upadku swego kraju. Zagłoba, niestety, nie przeżył Rzeczypospolitej. Wobec więc tak ciężkich win, przypisanych mu, proszę o głos, by stanąć w obronie tego wymarłego typu.

Na insynuację co do przeszłości tego nieboraka, poprzedzającej jego tryumfalne wkroczenie do Sienkiewiczowskiej „Trylogji“, można odpowiedzieć, że przeszłość Zagłoby, jako typu, tkwi bardzo głęboko w dziejowej przeszłości narodu, ba! ludzkości nawet. Kondemnatki i mankamenta, jako skutki ogólnoludzkiej słabości, w niczem swojskości jego nie naruszają i rzucać cień na społeczeństwo, z którego powstał, nie mogą, a to tem bardziej, że przeszłość tę okupił wielu cnotami, które wybuchały w nim z żywiołową siłą, skoro okoliczności temu sprzyjały. Politykiem i wyrachowanym dyplomata nie był, bo i naród, z którego pochodził, nigdy się nie odznaczał zdolnościami do tego. Bohaterem nie był, bo w żadnym narodzie wszyscy synowie jego nigdy bohaterami być nie mogą, ale był przyjacielem bohaterów, serca im dodawał, krzepił ich swą nie-

wyczerpaną, niezwalczoną, rodzimą wesołością, zaczerpniętą z głębi ducha narodu. Tyrteusz także do boju nie chadzał. Miał Zagłoba «na wnątrzu», jak mówi nasz chłopiec, jeszcze coś innego, niż flaki i sadło Falstaffowe. Biło w nim serce polskie i bardzo ludzkie. Za ten jeden czyn jego, gdy ryknawszy z bólu i żalości po stracie przyjaciela, rzucił się sam jeden na całe zastępy wrogów, by im wydrzeć zwłoki umęczonego pana Longinusa, można mu przebaczyć wiele kondemnatki i mankamentów. Ileż to razy wpływu swego na dobro publiczne użył, a wpływ na ziomeków miał wielki, bo będąc synem tej ziemi, a ich bratem z krwi i kości, z cnót i wad swoich, z postawy, z ducha, z fantazji, — znał swój naród na wylot i umiał do swoich przemawiać. Dokonywał też rzeczy nielatwych, naprzykład gdy pogodził Lubomirskiego z Czarnieckim — ogień i wodę — przedstawicieli dwóch skrajnych kierunków. Tylko taki typ mógł tego dokazać na gruncie swojskiej, do serca mówiącej krotchwili, znając tajemne sprężyny duszy swoich ziomeków. Łgał i pił przy amatorstwie, ale łgał i pił także nieraz w pocie czoła, *pro publico bono*. Już tak Bóg ludzkość stworzył i jej warunki bytu, że nieraz jedyną drogą do dobra jest kłamstwo lub kielich. Nie Zagłoba temu winien, no, i nie Rzeczypospolita.

Pojęcia Zagłoby o ludzie, mieszczactwie, żydach, kozakach i ich stosunkach do szlachty były takie, jakimi były wówczas pojęcia całego jego otoczenia, nietylko w Rzeczypospolitej, ale i daleko po za jej granicami, nawet w zachwalanej ojczyźnie Falstaffa. Żądać od Zagłoby - typu, by wyprzedził ludzkość o dwa i pół wieki, byłoby tem samym, co mieć za złe ówczesnym anglikom, że nie pływali podwodnymi statkami.

Robić z Zagłoby-typu, pra-przyczynę upadku państwa — niepodobna. Przyczyny wszystkich, najprostszych nawet zjawisk przyrody, są niezmiernie skomplikowane. Pra-przyczyna

ich tkwi w zawrotnej dla umysłu ludzkiego dali — cóż dopiero, pra-przyczyna najbardziej złożonego i zawiłego zjawiska społecznego, jakim jest upadek państwa. Robić z Zagłoby-typu pra-przyczynę upadku Rzeczypospolitej, byłoby to samo, co dowodzić, iż sąsiad mój stracił swój folwark dlatego tylko, że lubił robić błazna ze swego żyda-arendarza. Odjąć Zagłobę od przeszłości Polski, a będzie w niej czegoś brakowało. Nie poznamy społeczeństwa ojców naszych. Ciasnym był horyzont jego myśli — zapewne, to też przesadą jest dowodzić, że Zagłoba nawą państwa kierował. Ani mógł, ani chciał, ani mu na to pozwalano. Nie był, jak wówczas mówiono, dosyć «statystą» do tego. Będąc uosobieniem części swego narodu, politykował po swojemu, ale nigdy w swych politycznych spekulacjach nie doszedł do przekonania, że najwygodniej podejść z tyłu i śpiącego wroga zakłócić. Zagłoba ranego i związanego Bohuna nie zakłócił, choć mógł! Ale gdy uczucie w nim wzbierało, chociażby nawet dobrym miodem rozgrzane, rzucał się naoslep, lba nie gorzej od innych nadstawiał i wtedy, pomimo zwykłych ludzkich słabości, impet jego bywał strasznym. Zagłoba nie jest przekleństwem dziejów naszych, to raczej ich humor, ich wesołość i fantazja, ich poezja prawie. Niedarmo oblicza rozjaśniały się i ramiona otwierały na jego widok. Nie interes je otwierał, chyba że nie! Ramiona te były nieraz potężne, a wszak Zagłoba był tylko szaraczkiem. Pochlebstwo wobec niego żadnego celu nie miało. Witano w nim uosobienie wielu cnót swojskich, narodowych: dobrą wolę, pomimo ciasnych pojęć, instynktowną rycerskość, pomimo, iż go nieraz tchórz oblatywał, zawsze dobre serce, obok paskudnej często gęby, niewyczerpaną wesołość, podnoszącą ducha w ciężkich terminach, humor niezapożyczony od obcych.

Żaden naród nie jest cały ze spiżu odlany, jako posąg, wzniesiony ku zbudowaniu przyszłej ludzkości.

Polacy kwakrami nigdy nie byli. Zagłoba-purytanin przestałby być polakiem.

Zmieniają się czasy, a z niemi pojęcia ludzkie. Był czas, gdy nasi myśliciele, poeci, z wielkiego bólu i niezmiernego żalości, postawili Polskę na dziwnym, logicznie nieusprawiedliwionym, mistycznym piedestale. Folgowali to sercu ówczesnych pokoleń, tylko: sercu... Zdawałoby się, że w dzisiejszych trzeźwych czasach nie powinniśmy wpaść w drugą ostateczność: starać się odzierać przeszłość naszą z tego, co było w niej pięknem i bądź co bądź tak sympatycznym, że nietylko nas, synów swoich, nieprzeparcie ku sobie pociąga; chcieć zetrzeć z niej cechy zawsze tak cennego indywidualizmu. Naród, jeśli chce żyć, musi indywidualizm swój zachować, a ten składa się z cnót i wad, świętości i grzechów, bohaterstw, a razem, niestety, i zbrodni. Ludzka to rzecz!

Polska bez szereku karabeli, bez poboznych pielgrzymek, pijąca wodę lub piwo zamiast miodu i węgryna, pozbawiona tłumnych, wesolych a zawadjackich sejmików, odarta ze swej tradycyjnej ślepej waleczności i również ślepych politycznych błędów, bez swoich wielkich cnót i wielkiej ofiarności, przyćmionych wielkimi zbrodniami—Polska bez Zagłobów—jużby nie była Polska, ta nasza, rodzima, tak bardzo indywidualna, ta, która prawem dziedzictwa, tak silne wrażenie na dzisiejsze swe dzieci wywarła, że choć znamy ją tylko z opisu, choć oczy nasze na nią nie patrzyły, a jednak wszyscy pamięć jej głęboko w duszy wyryta nosimy.

Któż z nas w rodzinnych swych wspomnieniach nie daje lepszemu miejscu temu z przodków, który zostawił po sobie legendę dobroci, odwagi, wspaniałości i dowcipu, chociażby nawet spuścizny rodowej nadzarpnął, aniżeli temu z nich, który był zimnym, wyrachowanym, zawsze tylko przezornym, skąpym samolubem. Polski, uosobionej w postaci męża stanu, w ciemnych szatach, o chłodnych kamiennych rysach, a twarde i bezlitośnie spojrzaniu, niktby nie poznał, co więcej, niktby nie kochał i o upadłej niktby nie pamiętał—wówczas gdy to wspaniałe widmo, z dobrym, wesolym uśmiechem pod zuchowato zakręconym wąsem, odziane w malownicze, bogate szaty, z puharem w jednym ręku, a szerpentyną w drugim, z wyrozumiałością, tolerancją i miłością swobody, wypisanymi w jego bystrym, uczciwym spojrzeniu, widmo to sen z powiek odgania jedynym miłością ku sobie, a drugim... strachem. To, co po tylu latach jeszcze takie wrażenie wywiera, nie

musiało być zupełnie pospolitem i szkodliwym. Ludzkość nie samym tylko chlebem żyje, nie samą tylko mądrością polityczną wielbi. W prawach, historią ludzkości rządzących, również koniecznych i niezłomnych, jak wszystkie prawa przyrody, Polska Zagłobów kartę swoją zapisała, istnieć musiała taka, a nie inna. Czy się ona komu podoba lub nie, nikt i nic na to nie poradzi. A jaką jest ta karta? Szkaradną i szkodliwą, czy też pożyteczną, o tem dowiedzą się badacze w przyszłości, którzy beznamytnie i świadomie w tych sprawach rozpatrywać się będą; dziś namiętności wrą i w nas samych i wokół nas, co dowodzi, żeśmy tych czasów jeszcze zablizko, że wiedza nasza jeszcze praw, rządzących historią, nie zbadala całkowicie.

Treścią uczucia miłości jest ukochanie danego indywidualizmu takim, jakim jest; przymioty mają wartość bardzo względną. Proszę zmienić kształt nosa ukochanej kobiety na zgrabniejszy, głos jej na dźwięczniejszy, zalotność na pełną cnotliwej powagi bigoterję, a z pewnością przestaniemy ją kochać, bo to nie będzie już ona, ta wybrana, ta przeznaczona... chociaż może i lepsza od niej. Jeżeli nasza przeszłość narodowa ma pozostać naszym ukochaniem... a warta jednak tego, to nie zdzierajmy z niej indywidualizmu, kochajmy nietylko jej cnoty, ale i jej usterki. Nie wpadając z kolei w grzechy ojców, nie lubujmy się w szukaniu samych śmieci w tych wygasłych już popiołach wszechludzkiej namiętności i słabo-

ści; bo ojców cnoty i wady, ich bohaterstwa i zbrodni, jakimibądź byli—są rodzicami naszymi. Bez nich—nasby nie było. Inaczej... inaczej roztopimy naszą indywidualność, jak kawałek cukru w szklance ciepłej herbaty, lub kuftu gorzkiego piwa. Zagłoba nie święty—zapewne! Ale taki nasz! Taki polak! Nie on Rzeczpospolitą zgubił! Nie! On zanadto ją kochał, by mógł ją pogrzyść. Szkoda, że umarł. Część jaskrawego kolorytu narodowego zszarzała. Do grobu z nim zeszło jedno z ogniw łańcucha wiecznego rozwoju—i nienajbrzydsze! A zatem: niech żyje pamięć wuja Zagłoby! A jeżeli i były tam jakie grzechy, to szepnijmy nad tą mogiłą ustami potomków, wszechludzkie: *à tout péché miséricorde!*

Cezary Jacewski.

Węcfawicze (gub. kieleckiej).

LITERATURA WRZESIŃSKA.

Kilka miesięcy zaledwie dzieli nas od tragedji wrzesińskiej, a już da się oto treściwie uwidocznici cały, wywołany przez nią, jakby rozdział samodzielny w piśmiennictwie naszym. Nie inny mu tytuł przystoi, jak: literatura wrzesińska. Owe liczne, bardzo liczne echa, odgłosy, jednym słowem: ujęcie w literacką formę rozżaleń, bólu, oburzenia, wrażeń, wywołanych tem, co działo się we Wrzesni, daje miarę, jak silnie duszę społeczeństwa naszego szarpnęła żelazna dłoń prusaka. Posypały się zewsząd zwłaszcza wiersze o dzieciach, o matkach wrzesińskich. We Francji, powiadają, każdy wypadek, poruszający głębiej społeczeń-

W SETNĄ ROCZNICĘ URODZIN.



ALEKSANDER DUMAS (ojciec) 1802—1870. Jeden z najpopularniejszych powieściopisarzy świata, autor «Trzech muskietarów», «Królowej Margoty», «Hr. Monte-Cristo», dramatów: «Henryk III», «Antony», «Wieża Nesles».



WIKTOR HUGO. Najznakomitszy poeta francuski, autor «Hernani», «Ruy Blas», «Orientales», «Chants du crépuscule», «Notre-Dame de Paris», «Le gendarme des sables», «Misérables», «L'année terrible» etc. Urodzony 26 lutego 1802, umarł 22 maja 1885 r. Pochowany w paryskim Panteonie.

stwem, rozplywa się w piosenki. U nas wywołuje—wylew liryki. Nie jesteśmy pod tym względem odosobnieni. Te same Niemcy zalane były swojego czasu tak zwanymi «Griechenliedern», a w chwili obecnej nie zliczyć niemieckich poezji, mających za temat walkę boerów z angiakami.

Do literatury wrzesińskiej dorzucili też sporo obokrajowi pisarze. Dość przypomnieć, ile opisano artykułów publicystycznych, studjów, sprawozdań w prasie francuskiej, włoskiej, nawet—hiszpańskiej. Mamy dobrze w pamięci głosy rosyjskich publicystów; skrętnie notowali sady i poglądy czasopism niemieckich. Oto wszak «Revue Bleue» w lutowym zeszycie swoim, w obszernym artykule: «Polacy przeciwko prusakom», rozstrząsnawszy «nowy» układ stosunków polsko-niemiecko-rosyjskich, wyraża opinię, że już obecnie «les français peuvent, sans crainte d'imprudenc, exprimer toutes leurs sympathies aux polonais»... Zebrać to wszystko—utworzy się niemal biblioteka cała. Tym razem jednak nie kusimy się nawet o zestawienie tego, co «proza» o sprawie wrzesińskiej napisała u nas i gdzieindziej. Raz, że sam suchy katalog miałby obszerność zbyt znaczną, a powtóre, że to, co pisały czasopisma, położyc w znacznej mierze możemy na karb zwykłego interesowania się prasy każdym niepowszednim, powiedzmy: sensacyjnym wypadkiem. Rzecz inna z poezją. Ta nie ima się byle «sensacyjnego» wypadku; ona jest odbiciem nie interesowania się, a nastroju duchowego w danej chwili. Specjalnie zaś co do liryki, tej, jak wiadomo, źródłem jest—uczucie. A w naszej «literaturze wrzesińskiej» wielką rolę właśnie liryka. Zawtórzyło jej parę tylko głosów obokrajowych. «Revue des Revues» przyniosła w tegorocznym styczniowym zeszycie piękny wiersz, zatytułowany: «Petite main qui fut meurtrière...», podpisany «Vindex». Autorem jest znany korespondent berliński «Figaro»—p. Bonnefon. I—i niemiecki czytaliśmy też wiersz o Wrzesni. Kilku-dziesięciu Niemców, członków klubu w Wiesbaden (Wiesbaden, przed przyłączeniem do Prus, był stolicą samodzielnego księstwa Nassauskiego!) przysłało do redakcji «Kur. Pozn.» 100 marek «dla dzieci wrzesińskich» i wiersz przytem, zatytułowany: «Wir fühlen mit!» («My współczujemy»), kończący się strofą:

... Aber soll ich beten, danken,
Thu'ich meine Liebe Kund,
Meine seligsten Gedanken
Sprech'ich wie der Mutter Mund!

Ot, taki niemiec, który to pisał—«chociaż niemiec, głos ludzki zrozumiał», jak powiada Mickiewicz. A szczerze to słowa, szczerzy objaw. Jeśli z obozu wrogów naszych zaleci ku nam głos zacny, głos szczerzy, głos, co z nami radby trzymać po przez wielorakie zapory,—głos ów uszanujmy i oceńmy sprawiedliwie, aby zaślepioną nienawiść, na którą sami miotamy gromy, w twarz nie odrzucono—nam.

Wśród polskich poezji wrzesińskich panuje najzupełniejsza zgodność uczuć i myśli przewodnich. Ale, jak być inaczej nie mogło, wyraz dany w nich uczuciom i przekonaniom wcale nie jednokrotnej miary. Skala-bo też talentów, na-

wet uzdolnień, bardzo szeroka. Przeszłość artystyczna, dzieląca wiersz wrzesiński Konopnickiej od takiegoż wiersza, nadesłanego nam gdzieś z wiejskiego podkijowskiego lub podlubelskiego zakątka, oczywiście nie miała. Bo ileż to utworów «przygodnych poetów» wydrukowano już po czasopismach, a ileż to wierszy dzienniki, najpobłażliwsze nawet dla kunsztu poetyckiego, nie wydrukowały! Do dziś dnia nie przestają redakcje z pietyzmem, ale i z usprawiedliwioną stanowczością odmawiać gościny «wierszom wrzesińskim». Stosujemy naturalnie to twierdzenie i do redakcji «Kraju». Zasypano nas «wierszami wrzesińskimi». Do dziś dnia nie przestają nadpływać. Załujemy, że niektórych zamieścić nie możemy; inne znowu nie mają literackich niezbędnych przymiotów.

Bo, że ktoś pisze:

Dzieci wrzesińskie, pełne bohaterki!
Boży z waszego trysnął promień łona!
Lub że kto inny, dbały o kronikarską
nawet ścisłość, opowiada:

Wtem w obronie sądzonych powstają
Türk, Woliński, Dziembowski koleja,
Do sumienia i prawdy wołają...
W sercach wszystkich się budzi nadzieja.
nie racja jeszcze przyznawać temu mianu
poezji, aczkolwiek i ten, i tamten, i
dziesiąty wiersz taki do charakterystyki
«literatury wrzesińskiej» należy.

Czasem rzetelna szkoda, że autor myśli
piękną zmarował w pogoni za rymami
i rytmem. Oto w jednym z nadesłanych
nam wierszy czytamy:

Bo gdy modlitwa niewinnej dziecięcy,
Którą wróg podły w ustach dziecka dławi,
Nie zmniejszaj naszej przed Twym tronem
winy—

To cóż nas, Panie, od zagłady zbawi?

A i w drukowanej wrzesińskiej poezji,
przeciętnej, zaledwie gdzieindziej bli-
śnie jakaś strofka, pod względem arty-
stycznym—godna tematu. Najczęściej
udał się autorowi—pomyśl tylko. Tak
w owym wierszu z «Przedświtu» o Je-
zusie Panu, który «pod polskie wstępując
strzechy», «nie obcą mową» przemawia
do zgromadzonych. W innym wierszu
(«Gaz. Narodowa») odzywa się rzadko
w literaturze wrzesińskiej spotykane
zbożne słowo: «odpuść im—nie wiedzą
co czynią!»

Wspomnieć też należy, że jakiś kraw-
kowiec, p. J. Z. St. jué napisał osnu-
tą na tle wypadków wrzesińskich trzy-
aktową sztukę p. t.: «Krzyżacka dłoń». Figuruje w niej Piaseccy i ich dzieci, nauczycielka Omańkowska, krawiec Żolnierkiewicz z żoną, szewc Chojnacki, 13-letni Autoś, ksiądz katecheta Laskowski. Sztuki nie pozwolono wystawić w Krakowie. Czy zaś w związku z wypadkami we Wrzesni zostaje dramat Rydla «Jeńcy» (streściliśmy go w Nr. 4 «Kraju») —rozstrzygnąć nie umiemy; może przed Wrzesnią napisał go autor, ale w każdym razie pojawił się na widowni w czasie samego rozkwitu literatury wrzesińskiej.

Ale w literaturze wrzesińskiej figuruje nazwisko nietylko wspomnianego pierwszorzędny dziś pisarza. Wiersz wrzesiński napisała Marja Konopnicka, utrzymując go w tonie piosenki ludowej:

Tam od Głębna, tam od Warty
Biją głosy w świat otwarty,
Biją głosy, ziemia jęczy:
— Prusak dzieci polskie męczy!...

Za ten pacierz w polskiej mowie,
Co go zdali nam ojcowie,
Co go nas uczyły matki,
Prusak męczy polskie dziatki!...

Przemówił też St. Rossowski w «Słowie Polskiem»:

Zająknęły bólem niwy
Wielkopolskich pól...
A tam w górze patrzył na to
Sprawiedliwy Bóg.
Wiekuiistą księgę dziejów
Wy dobył z świetlicy
I na kartach dwóch zapisał:
„Dzicy“—„Męczennicy!“

Istnieją wiersze «wrzesińskie» Karola Brzozowskiego i autora «Strof» (który w trzech wierszach, mających za przedmiot trzy procesy: toruński, poznański i gnieźnieński, ułożył «Trylogję wrzesińską»), aby wymienić tylko głośniejsze nazwiska. Oto pióra, które w literaturze poetyckiej wrzesińskiej prym trzymają.

Ręczyć nie będziemy, żeśmy zarejestrowali tu wszystko, co poeci zawodowi i przygodni do literatury wrzesińskiej dorzucili; wystarczy jednak, sądzimy, i ta wiazanka, aby zwrócić uwagę na fakt zawtóżenia przez poezję naszą, naszym—uczuciom. Objaw to, charakteryzujący zarówno piśmiennictwo nasze, jak nastroj duchowy społeczny w chwili, bezpośrednio przeżytej.

Janusz.

POD GWIAZDZISTYM SZTANDAREM.

NASI EMIGRANCI W STANACH ZJEDNOCZONYCH.
(Dokończenie).

Dostawszy grunt za darmo, ksiądz obchodzi wszystkich swoich parafjan i zbiera składkę na kościół. Otrzymuje od każdego bez wyjątku, według zamożności, od 10—100 dolarów. Zebrawszy w ten sposób około 5 tys. rozpoczyna budowę. Potrzebny jest kościół, szkoła, plebanja, a często i domek dla siostr nauczycielek, wszystko z drzewa, razem kosztujące około 20 tys. dolarów. Pieniądze daje bank, a po ukończeniu budowy, wszystko odbiera biskup na własność djecejalną, procenty zaś (7) płaci parafia. Kościół jest zwykle bardzo obszerny, aby możliwie jaknajdłużej zdołał pomieścić napływających emigrantów. Co przedewszystkiem leży w interesie księdza, gdyż w lawce kościelnej każde miejsce kosztuje 6 dolarów rocznie. Oprócz zapłaty za ławkę, zbiera się na kościół w każdą niedzielę zwyczajną kolektę, nadzwyczajną co miesiąc, a raz do roku chodzi ksiądz po wszystkich domach i zbiera większe sumy (od 5—10 dolarów narodziń). Z dochodów opłaca się procenty bankowe, pensję księdza (wynoszącą zwykle 800 dolarów), organisty, opał, etc. Utrzymanie



Osada emigrantów polskich w Stanach Zjednoczonych, ustalonego dziś typu, z domem głównym mieszkalnym o trzech izbach. Zdjęcie fotogr. migawkowe, odzwierciedlające zarazem działkę wychodzącą, zgromadzoną przed osadą.

księdza składa się z owej pensji, mieszkania, opału, światła i akcydensów, które przynoszą najwięcej. Za chrzest płaci się dolara, za ślub dziesięć, za pogrzeb od 2 do 25 dolarów, za wypominki jednego nazwiska w niedzielę dolara rocznie. W ludnych parafjach dochód proboszcza przewyższa 10 tysięcy dolarów. Na szkołę płacą rodzice po pół dolara miesięcznie od każdego do niej posyłanego dziecka.

Życie jest względnie dość tanie: mięso kosztuje od 5—15 cent. funt, chleba bochenek od 3—5 cent., odświętne ubranie dla mężczyzny od 19—12 dolarów. Kawaler za trzy dolary tygodniowo otrzymuje stancję i stół dostatni, z mięsnymi potrawami, trzy razy dziennie.

Wśród przedsiębiorstw handlowych w nowej kolonii polskiej pierwsze miejsce zajmuje karczma, salun (*saloon*), jak się tu pospolicie nazywa; tych znajduje się tu bardzo wiele, mniej więcej jedna na dziesięć domów. Potem idą: sklepy wiktualów, t. zw. *grocery* (*grocery*), jatki mięsne, piekarnie. Na tem się prawie kończy handel polski. Tylko w większych miastach znajdujemy w rękach naszych sklepy ubrań, towarów łokciowych, pracowni fotograficzne, apteki, a nawet browary. Miljonów nie dorobił się dotąd żaden polak, za to średnio zamożnych, posiadających majątku od 30—150 tysięcy dolarów, jest liczba dość znaczna.

Zmysł organizacyjny mamy wysoko rozwinięty, sądzą bowiem, że



Polska chłopka emigrantka, w ślad po przybyciu do Ameryki, w stroju «po miejsku». Według fotogr. Eisenhardt'a z Detroit.

w większych kolonjach niema nawet 2 proc. ludzi, którzyby nie należeli do jakiego bractwa lub stowarzyszenia. Piszę to po jedenastoletnim pobycie w Detroit i okolicy; a w chwili obecnej Związki polskie w Ameryce rozwijają się wciąż.

Wszelkie towarzystwa, czy to świeckie, czy kościelne, mają za główny cel udzielać członkom pomocy w razie choroby lub śmierci. Na wypadek choroby płacą od 4—5 dolarów tygodniowo, w razie zgonu członka wszyscy pozostali składają na rzecz wdowy lub sieroć po jednym dolarze, o ile bractwo lub towarzystwo nie należy do innej, większej organizacji. Takich wielkich zespoleń jest kilka. Najpo-



Dom emigrantów polskich w Stanach Zjednoczonych, znikającego typu, t. zw. «szynka», o jednej izbie i kuchni.

teźniejszy ze wszystkich Związek narodowy, liczący przeszło 400 grup i 30 tys. członków, wypłaca pośmiertnego na osobę 900 dolarów. Z kilku stowarzyszeń kościelnych wymieniam: Zjednoczenie katolickie w Chicago, Unje, Stowarzyszenie w Milwaukee, także w Detroit, w Buy City, które wszystkie, razem wzięte, nie mają połowy tylu członków, co Związek. Posiada on własny dom w Chicago, wartości około 30 tysięcy dolarów, gdzie się mieszczą wszystkie biura zarządu, redakcja i drukarnia pisma tygodniowego «Zgoda», muzeum i wielka sala zebrań.

Dr. Józef Howiecki.

WIEDZA DLA WSZYSTKICH.

UNIwersYTETY LUDOWE W GALICJI.

I.

Uniwersytet ludowy im. Mickiewicza.

«Garść myśli nowoczesnych, garść promieni wiekuistych prawd, trochę blasków piękna i sztuki, iskry zapalu i nadziei i dużo miłości rzuciło się w ten biedny kraj. Tu i owdzie musiało przecie coś wnikać w dusze. Posiew był szczery, serdeczny... I żniwo kiedyś winno być radosne».

Temi wyrazami kończy się ostatnie sprawozdanie roczne uniwersytetu, który znajduje się dopiero na początku drogi, jaką sobie założył przebież, ciężkiej drogi przez gęstą, duszną atmosferę ciemnoty galicyjskiego proletariatu. Ma za sobą trzy lata pracy. Powstał z niczego, bez poparcia możnych instytucji, bez subwencji, bez zapisów, entuzjazmem szczupłego grona jednostek, ufne-go w żywotność swoich zamiarów. Idea stworzyła środki materialne i chociaż dziś jeszcze uniwersytet rozporządza większą ilością zapalu, niż pieniędzy, owoce jego działalności zaczynają być dostrzegalne i utrwalają się w społeczeństwie.

— W ciągu dwóch pierwszych lat urządziliśmy ogółem w Galicji i na Szlązku 751 wykładów, których słuchało 116,573 osób—tak mówi młody inżynier wydziału krajowego, p. Edmund Libański, jeden z najczynniejszych «profesorów» ludowego uniwersytetu, niestrudzony prelegent, szermierz i agitator.

I opowiada tak dalej:

— Obecnie mamy do rozporządzenia wynajętą rocznie za 2,800 koron wspaniałą salę w «kryształowym pałacu» o wielkich lustrzanych oknach, gdzie codziennie kilkaset osób słucha wykładów z wszystkich gałęzi wiedzy ludzkiej. Machina, chociaż jeszcze bardzo oddalona od ideału, porusza się normalnie. Ale z początku było mniej pięknie. Każdą piędź terenu dla naszej propagandy trzeba było zdobywać przebojem. Ileż energii zużyło się na to tylko, aby zdobyć sale wykładowe! Bądź co bądź, dla Lwowa jest to czas przeszły. I Kraków, gdzie na czele miejscowego oddziału naszej instytucji stoi niestrudzony prof. Bujwid, ma chwilowo wspaniałe pomieszczenie na 600 osób w restaurującym się amfiteatrze nowodworskim, w dodatku bezpłatnie. Ideałem naszym jest pobudowanie we Lwowie i w Krakowie «Domów ludowych»; zaczyna się nawet zwolna wytwarzać skromny fundusz na ten cel. Ale na prowincji mieszka się jeszcze w całym tego słowa znaczeniu «kątem» w wynajmowanych salach kasynowych, w «sokolach», w szkołkach wiejskich, a nawet — co taniej wypada — pod gołębniebem. Bo i taką prelekcję uniwersytecką mieliśmy już. Zapal słuchaczy jest bardzo nierównomierny. Najwięcej zainteresowania budzą wykłady w przemysłowych okręgach na Szlązku — najmniej w prowincjonalnych miasteczkach wschodniej Galicji. Pęd do światła istnieje jednak wszędzie. Byle trochę więcej prelegentów, oddanych całą duszą idei oświaty, byleby rozszerzyło się ko-

ło ludzi, chcących oddać jedną koronę kwartalnie na cele uniwersytetu! Mamy ich w całym kraju 1,500. Dobrze to chyba na początek. Sześć tysięcy koron rocznie. Cóż można z tem dokazać na przestrzeni od Ostrawy morawskiej do Podwołoczysk?...

A jednak dokazało się w ciągu tych trzech lat zadziwiająco wiele. Wyręczył na chwilę p. Libańskiego i zestawmy króciutki bilans zysków uniwersytetu ludowego.



Prof. Kazimierz Twardowski.

Codziennie od lat paru odbywają się popularne wykłady w obu głównych miastach Galicji: w Krakowie i we Lwowie. Kilka wykładów w tygodniu ma najruchliwsze z miast prowincjonalnych: Stanisławów. Regularnie każdej niedzieli słucha ich Przemysł, Jarosław, Tarnów, Sącz, Zakopane, Sambor, Stryj, Borysław, Schodnica, Drohobycz, Otynia. Wszystkie te miejscowości mają u siebie autonomicznie funkcjonujące «oddziały» uniwersytetu, a w wielu z nich czynni są w zarządach także robotnicy, spełniający doskonale czynności administracyjne. W innych miasteczkach odbywają się wykłady niesystematycznie, w miarę, jak wystarczają prelegenci. Ogółem wykładano dotąd w 33 miejscowościach. Dotarto nawet na wieś. Wyprawy te należą z wielu przyczyn do najtrudniejszych, a jednak kronika uniwersytetu zapisała już około 20 prelekcji w czytelnich lub karczmach wiejskich wobec audytorjum, złożonego wyłącznie z chłopów. Każdej niedzieli odbywa się na przestrzeni Galicji od 12 do 16 wykładów wobec pięciu tysięcy słuchaczy.

Uniwersytet wytworzył 20 systematycznie czynnych prelegentów, obok których pracuje drugie tyle przygodnych. Małeńka ta armia w służbie wiedzy rozpytuje się po całym kraju, zawsze entuzjastyczna, czynna, niestrudzona. Wytworzył się w Galicji wprost nowy typ publicznego działacza. Prelegentami są docenci uniwersytetu, literaci, lekarze, prawnicy i — kobiety. Dziewięć pań figuruje dotąd na liście prelegentów uniwersytetu ludowego. Są nie-mi panie: dr. Zofia Daszyńska, dr. Kulikowska, dr. Perlmutterówna, Mokłowska, Libańska, Gerzabkowska, Niedźwiecka, Balicka, Wanda Dalecka.



Edmund Libański.

Takim typowym prelegentem jest zwłaszcza inżynier Libański. Zapalony popularyzator astronomii, geologii i historii wynalazków technicznych w ciągu lat trzech wykładł 218 razy w 30 miejscowościach wobec 40 tys. słuchaczy. Cyfra, jak na sily jednego człowieka, wprost olbrzymia. Takim prelegentem jest również krakowianin, inżynier Urbanowicz, który w krótszym nieco przeciągu czasu, bo w dwóch latach, wykładł w 15 miejscowościach 70 razy wobec 10 tys. ludzi. Prawdziwi komiwojażerowie w interesie oświaty mas ludowych!

Najliczniejszym i najwdzięczniejszym audytorjum cieszą się wogóle wykłady z nauk przyrodniczych, zwłaszcza geologii i astronomii, ilustrowanych obrazami, rzucanymi przez skioptikony, następnie higieny, dalej z literatury i historii polskiej; najsłabszą zaś frekwencję wykazały wykłady prawa i ekonomii społecznej. Na audytorjum składały się warsztaty robotnicze średnie i młodzież szkolna; z warstw średnich przeważały kobiety. Robotnicy stanowili ogółem połowę. Dyskusje pomiędzy prelegentem i słuchaczami wywiązywały się tylko we Lwowie, w Krakowie — i na wsi. Zupełnie odrębny świat przedstawia zagłębie węglowe ostrawsko-karwińskie na Szlązku, gdzie uniwersytet ludowy spełnia misję nie tylko czysto kulturalną, ale i narodową.

— Lud szlązki — opowiada p. Libański — stoi znacznie wyżej pod względem pojętności, niż jego sąsiedzi galicyjscy. Z początku przyjmowano nas, co prawda, jako «komediantów», i domagano się... muzyki, ale po tej naiwnej introdukcji przyszło prędko zrozumienie celów uniwersytetu. Tam jest nasze najwdzięczniejsze audytorjum. Słuchają z otwartymi ustami, rzucają pytania, domagają się wyjaśnień, i... nie chcą wychodzić po wykładzie. W Orłowej otoczono mnie wprost z prośbą, aby im jeszcze coś mówić. Była to rozrzucająca zapłata za trud. I sceneryja jest tu zupełnie odmienna, niż w Galicji. U nas chłop w chłopa stoi na sali, zasłuchany milcząc. Na Szlązku wykłady odbywają się tylko w gospodach, w olbrzymich izbach, mogących pomieścić kilkaset ludzi. Wszystko to pije piwo, pali cygara lub fajki i słucha w ten sposób prelekcji.

W ślad za tem szczerem zainteresowaniem się ludu szlązkiego wiedzą popularną, zawiązują się «oddziały» uniwersytetu w Morawskiej Ostrawie, w Boguminie i w Cieszynie. Przy pomocy ich instytucja będzie mogła tem skuteczniej oddziaływać na niemczyony i czechizowany lud polski na Szlązku.

II.

Powszechne wykłady uniwersyteckie.

Drugi, uniwersytet ludowy z siedzibą we Lwowie, pod wpisaną powyżej nazwą wyszedł z łona wszechniczy lwowskiej, która powróciła w ten sposób do dawnej, zarzuconej tradycji uniwersyteckiej, wywierania szerokiego wpływu na stan oświaty w kraju. Nic tej tradycji nawiązały pierwsze uniwersytety angielskie w Cambridge, Oxfordzie i Londynie, a za niemi amerykańskie. Zaczęły się tworzyć tak zwane «Uniwersytety rozsze-

rzony» (*University-Extension*), czyli ludowe, połączone ściśle z właściwymi uniwersytetami w pierwszym rzędzie przez osoby prelegentów. Połączenie to zapewniło nowym instytucjom, obliczonym na najszerze warstwy ludności, trwałość i poważny charakter naukowy, dobór odpowiednich sił nauczycielskich, rękami gruntowych i metodycznych wykładów. «Powszechne wykłady uniwersyteckie» we Lwowie weszły w życie w jesieni 1899 r. — przed dwoma laty. Kieruje nimi zarząd, mianowany do tego celu przez senat akademicki. W ten sposób «powszechne wykłady akademickie» nie stanowią, jak uniwersytet ludowy im. Mickiewicza, osobnego stowarzyszenia, są tylko jakby delegaturą uniwersytetu dla szerzenia wiedzy w najszerzych kołach ludności i podlegają senatowi akademickiemu, a w dalszym rzędzie — ministerstwu oświaty i wyznań, które subwencjonują je roczną kwotą 4 tys. koron.

Przewodniczącym zarządu i właściwym *spiritus movens* instytucji jest zwyczajny profesor filozofii na uniwersytecie we Lwowie, dr. Kazimierz Twardowski, wybitny uczyony i niezmiernie ruchliwy działacz, uosobiona dobra wola i wytrwałość.

— Instytucja nasza — objaśnia prof.

Twardowski — rozwija się normalnie. W pierwszym roku istnienia urządziliśmy we Lwowie i w trzech miastach prowincjonalnych 253 wykładów, na które uczęszczało około 30 tys. słuchaczy, więc przeciętnie 116 na jeden wykład; w drugim roku we Lwowie i w ośmiu miastach prowincjonalnych — 327 wykładów, na które uczęszczało około 63 tys. słuchaczy, czyli 256 przeciętnie na jeden wykład. Te cyfry świadczą wymownie o potrzebie i wzrastaniu instytucji. Wykłady nasze obejmują wszystkie gałęzi wiedzy, z szczególnym jednak uwzględnieniem nauk przyrodniczych i postępów techniki nowożytnej, co może mieć dla pewnej części audytorjum znaczenie praktyczne i stworzyć zastęp samouków, wśród których znowu łatwo mogą się znaleźć jednostki wyjątkowo uzdolnione i popchnąć w niejednym rozwój techniczny. Z dotychczasowej pracy wynieśliśmy spostrzeżenie, że podczas gdy słuchacze z tak zwanej inteligencji, nawiasem mówiąc, przeważnie kobiety, zapelniają najliczniej sale wykładowe na prelekcjach z literatury, filozofii i nauk społecznych, to robotnicy słuchają najchętniej fizyki, chemii, biologii, anatomii, a pozatem jeszcze historii polskiej. Wogóle zaś nauki humanistyczne gromadzą przewagę kobiet, przyrodnicze —



Typy z audytorjum uniwersytetu we Lwowie. Szkic z natury.



Brama Opatowska w Sandomierzu. Zdjęcie fotogr. migawkowe p. K. Dunina-Karwickiego.

akcji tem łatwiejszej, że ustawa pozwala im przyjmować do swego grona nawet i nie malarzy. Przecież tyłu ich jest, i sami w dostatki nie opływają, tem bardziej powinni pamiętać o zasadzie: co tobie dziś, mnie jutro.

Niewątpliwie — słowa to rozumne, a wyrzuty usprawiedliwione, choć brzmią one już, jak ograna melodia. Ileżto razy, na łamach choćby naszego pisma, powtórzyliśmy już: korzystajmy z danych nam praw!..

I ile razy jeszcze wypadnie nam to powtórzyć?...

Warszawa.

V.

NA WIDNOKRĘGU LITERATURY.

Przekład polski dzieła Juliana Klaczki: „Anneksja w dawnej Polsce“.

«Środkowa Afryka jest dziś już więcej światu znana, niż polskiej publiczności Klaczko, autor «Katechizmu nierycerskiego», «Bezimiennego poety», «Dwóch kanclerzy», «Etudes de diplomatii» — pisze w przedmowie do tłumaczenia «Une annexion d'autrefois» prof. St. hr. Tarnowski. — Z powyższych słów przebija gorzka prawda, ale prawda... Znany i czytamy mało tego pisarza, który jest bezsprzecznie jednym z najbystrzejszych umysłów, jakimi Polska może się poszczycić w drugiej połowie XIX w. Z tem większą zatem radością należy powitać świeżo wydane tłumaczenie dzieła Klaczki, uprzejmi ono bowiem szerszym sferom zaznajomienie się w polskim języku z jego «Anneksją» — «misterną i świetną pod względem budowy i sztuki pisania». Temat zaś, poruszony przez Klaczkę, jest dziś tak samo, a może nawet jeszcze bardziej aktualny, niż w r. 1869, t. j. w chwili ukazania się książki po francuzku.

Klaczko nie szuka w swem dziele nowych prawd historycznych, nie stawia żadnych nowych hipotez, ani nie zbija

starych; nie jest w niem historykiem-badaczem, pragnącym wydobyc na światło dzienne nieznane dotąd szczegóły z dziejów epoki, które kreśli; on pisał dla Europy, dla tych, którzy nie znali tak dobrze i szczególnie całej podstępnej i szalbierczej polityki zbrojnych mnichów krzyżackich wobec polaków i Litwy; on pragnął, po świeżych dramatach dziejowych z lat 1864 i 1866, przypomnieć światu, że główny ich sprawca i inicjator — żelazny kanclerz — to prawy i nieodrodny następca wielkich mi-

strzów z Malboga. I z tego stanowiska należy sądzić dzieło Juliana Klaczki. Pod względem popularnego sposobu pisania «Anneksja» jest znakomita. Nie używamy tutaj tego wyrazu w jego zwyczajnym znaczeniu, nie mamy na myśli książki, przeznaczonej dla ludzi o niższym wykształceniu, któraby miała się dopiero przyczynić do podniesienia ich poziomu kulturowego; przeciwnie, chcemy przez to powiedzieć, że dzieło Klaczki, napisane dla świata wykształconego, ale nie znającego tak dokładnie dziejów Unji polsko-litewskiej, jest doskonałe. A jak to trudno takiemu zadaniu sprostać! Forma i sposób pisania muszą być — zwłaszcza, jak tym razem — dostosowane do wysokiej inteligencji czytelników; skreślony obraz musi być możliwie najwzięjszy, a mimo to treść jego bardzo bogata, bo autor musi w niej podnieść niejedną taką szczegół, który mógłby spokojnie pominąć, pisząc książkę dla polskiej publiczności. Dlatego też bardzo łatwo można popaść albo w suchość i niejasność, albo też napisać rzecz, przeładowaną szczegółami, a więc znowu ciężką i zawilą. A co najważniejsza, w jednym i drugim razie bardzo łatwo zatracić cel główny, t. j. uwypuklenie tych sprężyn, które kierowały przedstawionymi w książce faktami. Jeżeli się zaś pisze książkę zwłaszcza dla francuzów, trzeba się liczyć z wydelikacjonem u nich do najwyższego stopnia smakiem estetycznym, którego tak łatwo i byle czem zaspokoić nie można. Tyle trudności nastęrcza napisanie takiej książki, jak «Unja Polski z Litwą». Czy Klaczko pokonał te trudności, czy im sprostał? Odpowiedź musi wypaść bezwarunkowo potwierdzająco.

Budowa i forma «Anneksji» jest zaprawdę «misterną i świetną». Autor mistrzowskimi wprost rzutami nakreślił obraz całej jednej epoki w dziejach wschodniej Europy; w szczupłych ramach zamknął lat dziesiątki, a zrobił to przecie tak świetnie i doskonale, że mimo to obraz nie stracił ze swej wyrazistości, ale jest jasny i wypukły. Czy-

telnik znajdzie tam i opis ziemi litewskiej, jej obyczajów, religii i urządzeń społecznych, i treściwy obraz dziejów litewskich za synów Giedymina, i charakterystykę polityki Kiejstuta i Olgerda, wreszcie chrzest Jagielly, Grunwald, aż do Unji w Horodle. A dopiero na tem tle przesuwają się postacie wielkich mistrzów zakonu krzyżackiego, otoczonych zgrają zbrojnych mnichów, szerzących rzekomo wiarę chrześcijańską i zachodnią cywilizację nad brzegami Niemna.

Nie dziwić się, że Bismark żywił złość i nienawiść do Klaczki. Niechby nawet autor «Poety Bezimiennego» nie był napisał «Les deux Chanceliers», to już sama «Anneksja» stanowiłaby dla niego dostateczny tytuł do tego zaszczytu.

Klaczko bowiem nie opuścił w niej ani jednej sposobności, aby nie wskazać, że Bismark chwycił tylko napowrót w rękę tę samą nić polityki fałszu, obłudy i zaborczości, która wypadła z martwych rąk Ulrycha von Jungingen na polach Grunwaldu; gdzie tylko może, wykazuje tę wspólność, dotyka jej wprost palcem i zda się mówić do całego cywilizowanego świata: Bądźcie ostrożni, przezorni, bo myśmy się już na tej polityce nieraz poparzyli. I dziwna, że ten głos przestrogi ozwał się w języku francuzkim na kilkanaście miesięcy przed klęską sedańską. Prof. St. hr. Tarnowski w przedmowie do wydanego tłumaczenia określa w tak pięknych słowach cel i zadanie, jakie sobie Klaczko postawił, pisząc «Anneksję w dawnej Polsce», że należy przytoczyć z niej bodaj jeden ustęp: «Oburzonemu i zbrzydzoneму nieprawdą, jaka była w świeżo dokonanych, tak zwanych anneksjach, stanęła w oczach anneksja w dawnej Polsce, Unja Litwy z Koroną. Zapragnął zapomnianą przypomnieć, zasypaną pyłem wieków odsłonić, skazaną na śmierć wyrokiem szczęśliwej i dumnej przemocą pokazać w jej żywotności, w jej dziejowej zasłudze, w jej prawdziwej chrześcijańskiej cywilizacji, w jej wyższości... Spotkanie przypadkowe, ale piękne, dwóch wielkich serc i umysłów: w tej samej myśli i w tym samym roku (1869) wydawał Klaczko «Anneksję», a Matejko ukonczył i wystawił «Unję lubelską».

Do powyższych słów trudno dodać coś więcej, chyba tylko to, że Klaczko spełnił czyn obywatelski, pisząc dla Europy swą «Une Annexion d'autrefois», lecz że takiego samego czynu dokonali ci, którzy powzięli myśl przetłumaczenia «Anneksji» na język polski, zwłaszcza, że tłumaczenie i język są wyjątkowo jasne i piękne.

K. Wł. Kumaniecki.

OKOŁO MAROKKA.

Z WRAŻEN TURYSTY.

W styczniu 1900 roku francuzka ekspedycja naukowa pod wodzą uczonego hydrologa Flamanda dotarła do oazy Tadmet, gdzie w pobliżu wielkich studni igostemskich napadło na nią wojownicze pokolenie arabskie *Ulad bachmu*. Po kil-

ku utarczkach, ekspedycja francuzka zajęła In-Salah na pograniczu algieryjsko-marokańskim, kładąc tym sposobem podwaliny panowania Francji nad całym Tuatem.

Tuat stanowi łańcuch niewielkich oaz, rozsypanych na przestrzeni 700 przeszło wiorst, począwszy od Gurrary, a skończywszy na płaskowzgórzu tadmetańskim, u stóp którego rozciąga się Tidikelt, graniczący z bogatą i zupełnie nieznaną prowincją Tafiletu. Prowincja ta stanowi klucz strategiczny do posiadania całego «kraju dalekiego zachodu» (*el-moghrib-el-aksa*), jak Maurowie nazywają swoją ojczyznę.

Do Tafiletu próbował się dostać, ale bezskutecznie, w roku 1889 dzisiejszy francuzki *chargé d'affaires* w Tangerze, p. Henri de la Martinière, a jedynym europejczykiem, który w przebraniu arabskim na mule przejechał wzdłuż i wszerz tę całą prowincję, jest mr. Walter Harris, urzędowy korespondent «Timesa» w Tangerze, a właściwie tajny agent rządu angielskiego w Marokko. Poznano go jednak w drodze, i ocalenie swoje zawdzięcza on tylko niezwyklej przytomności umysłu i głębokiej znajomości natury wschodniej, gdy bowiem ktoś z tłumu rozbił głowę temu psu niewiernemu! Harris podjął z ziemi kamień i wręczył mu ze słowami: «weź, bracie! Wówczas fanatyk padł przed nim na ziemię i poprzysiął mu dożgonną przyjaźń na siódme niebo i brodę proroka¹⁾.

Do Tafiletu prowadzą dwie drogi, jedna ze wschodu od granicy al-

¹⁾ Fakt powyższy opowiadał mi sam mr. Harris, gdy w jesieni zeszłego roku odwiedził w uroczej willi, zwanej białym domem (*dar-el-baida*) w okolicach Tangeru.

gieryjskiej, i tą właśnie postępująca dziś wojska francuzkie, druga z zachodu od wybrzeży oceanu Atlantyckiego, gdzie na wysokości mniej więcej wysp Kanaryjskich rozciąga się prowincja Sus, granicząca z ziemią Draa. Ta druga droga jest jednak dla Francji zamknięta, gdyż na zachodnim wybrzeżu Marokka nie posiada ona żadnego portu; co więcej, na mocy konwencji z Anglią w r. 1895, sultan Abdul-Azis zobowiązał się nie ustępować nikomu stacji węglowej poniżej Mogadoru bez zgody rządu brytyjskiego, który wzamian za to uznał dość problematyczne prawa władcy prawowiernych do ziemi Draa i przylądku Badajor. Zresztą stworzenie podstawy do operacji wojskowych na zachodnim wybrzeżu Marokka nie jest widocznie tak łatwym, skoro Anglia, która w 1880 r. otrzymała koncesję w zatoce Tarfaia (przylądek Juby i port Wiktorji), ujrzała się zmuszoną po 15 latach ustąpić ją napowrót sułtanowi za 50 tysięcy funtów. Tak samo Hiszpanja, która od roku 1859 otrzymała na tem wybrzeżu port, zwany *santa-Cruz de mar Pequena*, dotychczas z nabytku swego korzystać nie jest w stanie, chociaż w zaprzyszłym roku postarała się o zatwierdzenie tej koncesji.

Posuwanie posterunków wojskowych w głąb Tuatu motywuje rząd francuzki koniecznością sprostowania granicy algieryjsko-francuzkiej i zabezpieczenia ludności pogranicznej od ciągłych napadów koczowniczych plemion arabsko-berberyjskich. Na mocy traktatu z roku 1845, po pamiętnej dla Maurów bitwie pod Isły, w której generał Bugeaud rozbił połączone armie Abdel-Kadera i sultana Abder-Rachmana, granica ta została wytknięta tylko do Senet-

es-Sassi. Od tego czasu polityka rządu marokańskiego polegała na ustawicznym podburzaniu pogranicznych plemion przeciwko Francji. Konwencja francuzko-angielska z d. 5 sierpnia 1890 r. rozciągnęła bezpośredni wpływ Francji na południe aż do Se-Barna, co dało Francji pretekst do okupacji Tuatu. Już w 1891 r. gubernator Algierji, Cambon, proponował wysłanie ekspedycji wojskowej do Igli; sprzeciwiono się jednak temu w Paryżu, w obawie wybuchu wojny świętej, i postanowiono nakłonić plemiona, zamieszkujące oazy Tuatu, do pokojowego poddania się rządowi francuzkiemu. Misję tę powierzono niejakiemu sidi Eddin-bin-Hamza, naczelnikowi plemienia arabskiego *ulad-Siai*, które, wywędrowawszy trzydzieści lat temu z Algierji do Marokka, w 1883 r. prosiło o pozwolenie powrotu do kraju rodzinnego. Tymczasem sidi Eddin, zapewniając rząd francuzki o swojej bezwzględnej uległości, zaczął nakłaniać inne pokolenia do zbrojnego powstania przeciwko Francji, a gdy w dodatku przejęto jego list do ówczesnego sultana mulej Hassana pisany, schronił się na dwór władcy prawowiernych i dziś przebywa w Gurar, gdzie w dalszym ciągu prowadzi intrygi przeciwko Francji.

Niepowodzenie na polu dyplomatycznym skłoniło rząd francuzki do rozpoczęcia kroków zaczepnych. W tym celu wysłano trzy ekspedycje wojskowe; pierwsza zajęła Haguat, El-Goleah, In-Salah, a po rozbięciu oddziału, wysłanego na pomoc beduinom przez baszę z Timmi, przebiegła oazy Aulef i Akabli. Druga wyprawa, idąc wzdłuż rzeki «ued Messaura», dotarła aż do Igli, a jeden z głównych marabutów oazy Figig uznał dobrowolnie nad sobą władzę Francji. Trzecia wreszcie, idąc wzdłuż rzeki «ued-Megiden», dotarła aż do Timunum. Tym sposobem prawie cały Tuat jest dziś zajęty przez wojska francuzkie.

W oazach Tuatu koczują liczne plemiona arabskie i berberyjskie, z których jedne uznawały władzę szeryfa Wazzanu, inne rządziły się zupełnie samodzielnie, wszystkie zaś odmawiały stałe płacenia podatków sułtanowi Marokka, którego władza w tych miejscowościach była czysto nominalna.

Dążeniem francuzkiej polityki kolonialnej jest utworzenie na północnym wybrzeżu Afryki długiego łańcucha posiadłości francuzkich, od brzegów Azji mniejszej aż do oceanu Atlantyckiego. Zbudowanie kolei z Oranu do El-Goleah na Ain-Sefra zapewni Francji posiadanie Tuatu i Tidikeltu, co pozwoli jej przystąpić do stworzenia bezpośredniej ko-



Scena uliczna w Marokko. Zdjęcie fotogr. migawkowe p. B. Bouffalila.

bali. Radzę-ć: ustap! Ja w prawo, ty w lewo—inaczej nie można.

Krzyś, choć zafrasowany, nie był przecie mazgaj.

— Idę drogą swoją, nie cudzą—spokojnie odrzekł. — Ustępować nie mam przed kim, ani po co. Sam na siebie, szlachcicu, bacz—mnie w pokoju ostaw!

Spokojność i pewność siebie młodzieńca zbiły tamtego z tropu.

— Gdańsk ci posłużył—w Gdańsku losu szukaj!—wyrzekł z mniejszą już butą.—Na co ci Warszawa?

Tu wmieszał się do rozmowy poeta.

— Warszawa — macierz nasza. Większe-ć do niej prawa Krzysio, niż waszmościno. Swój lgnie do swego. Mieszczaninowi najgodniej w mieście, żołdakowi—in obozie.

Wichura ledwie mógł się pohamować. Drgały mu wasy i powieki. Nie mogąc sięgnąć przeciwnika nożem, wbił weń straszne z podelba spojrzenie.

— Nie z waszmością gadam! — mruknął.

— To nie. Szturhańca-ś odemnie wziął — możesz przyjąć i słów kilkoro.

— Com wziął—oddam. Jeno, że u mnie szturhańce inakże: z żelaza i stali. Wrychle, da Bóg, uładzimy swoje liczby.

— Radzę waszmości uładzić je wprzód z sumieniem swoim, tudzież—z Machabejami...

Szyderstwo dojęło szlachcica do żywego. Prawda zawsze najdotkliwsza. Nie mógł już nad sobą panować — z dobytym żelazem posunął się do poety.

Przytrzymała go na miejscu ciężka łapa starego Zboińskiego.

Szlachcic już od kilku chwil stał za plecami zwaśnionych, zważając, co mówią.

— Jejmość pani Drewnowa dopytuje o cię—rzekł z naciskiem, zatapiając groźne spojrzenie w oczach syna.

A ciszej dodał, na kord wzrokiem wskazując:

— Schowaj to. Nie zabijaj fortuny, która sama w ręce lezie.

Przestroga wzięła skutek. Konrad żelazo wsunął do pochwy. Z głową zwieszoną, jak u spętanego byka, za ojcem poszedł.

Gdy już znaleźli się za progiem, Zboiński powiódł syna do ustronnego kąta, obok siebie posadził. Twarz jego wyrażała wielką przebiegłość. W kąciakach ust i oczu krył się tajony uśmiech.

Zadzierzasty, okazały szlachcic zmienił się na chwilę w pelzającego poufnika Boboli.

— Tu nie po żelazie — rzekł do samego ucha Konradowi. — Ty, panie synu, zakrzężnij się wedle

dziewki; Dąbków mnie ostaw. Da Bóg, żądło im się wyrwie.

W szerokim uśmiechu pokazał wielkie, ostre zęby...

DCN

TO I OWO.

— Pisaliśmy już, że w Stanach Zjednoczonych Ameryki północnej wyszedł rozkaz do władz portowych, ażeby nie puszczały na łód suchotników, emigrujących ze staro kraju. Otóż przed kilkunastu dniami rozkaz ten dotknął pewnego europejczyka, niejakiego Tomasza Bodena, który z żoną i dzieckiem przybył do New-Yorku, a u którego lekarz portowy stwierdził początki suchoty. Nie pomogły żadne przedstawienia, ani odwoływania się do władzy Stanu; władza ta była jedynie na tyle uprzejma, że rozpatrzyła jego rekurs; atoli wyrok brzmiał odmownie, albowiem prawo, datowane 3-go marca 1901 r., wyraźnie wyklucza z Ameryki emigrantów, cierpiących na niebezpieczne lub zakaźne choroby, a więc i na suchoty. Tomasz Boden powrócić więc musiał do Europy i to tym samym parowcem, na którym przybył do New-Yorku.

— Ostatniem słowem postępu w urzędzeniu bibliotek publicznych jest gmach „Biblioteki kongresu“ w Waszyngtonie. Wszędy tam marmur, na plafonach malowidła przeszliczne. Księgozbiór zawiera około 1 miliona tomów. Biblioteka posiada własną introligatornię i drukarnię, zatrudniająca 80 kobiet. Olbrzymia sala ogólna jednoczyn różnorodnie towarzystwo; na użytek uczonych, lubiących pracować samotnie, są przyrządy, rozdzielające pokoje większe na maluchne izdebki. Manipulacja odbierania i odsyłania książek bardzo ułatwiona. Do maszyny pneumatycznej wrzuca się kartkę z żądaniem; dociera ona, biegnąc przez rury—tam, gdzie się znajduje żądane dzieło. Po upływie dwóch minut, książka dochodzi do rąk czytelnika tą samą drogą.

— Wątpliwości etykietalnej natury nasuwa rewidowany obecnie ceremoniał koronacji króla Edwarda. Od lat 65 nie było podobnej uroczystości w Anglii i tradycje starożytnego ceremoniału nie godzą się już ze zmianami, które przez ten czas wynikły. Mnóstwo książąt, hrabiów, biskupów i parów domaga się zaszczytu niesienia baldachinu, berła, laski i szpady króla. O prawo dostarczenia rękawicy na prawą rękę Edwarda VII dopominają się ks. Newcastle i hr. Shewsbury; i jeden i drugi dowodzi, że jest to przywilejem ich rodu. Musiano dać sprawę do rozpatrzenia Izbie reklamacyj („Court of claims“). Wynikły też wątpliwości co do strojów koronacyjnych parów oraz ich małżonek. Pod tym względem zapadła uchwała: żony parów wystąpią w spódnicach z karmazynowego aksamitu, obramowanych gronostajami; szeroki pas futrzany obejmie ogon i dwoma rzędami iść będzie z przodu aż do paska; przód może być z jakiegokolwiek materji jedwabnej, byle białej. Stanik wycięty, obcisły, karmazynowy aksamitny, sznurowany na przodzie i oblamowany pasem gronostajów; tren aksamitny, podbity gronostajami; krótka pelerynka futrzana spuszcza się z pleców, przytwierdzona złotym sznurem.

— Głośna aktorka włoska Eleonora Duse zapragnęła mieć swoją własną kurtynę na wszystkie występy w kraju, czy też zagranicą. Malarz rzymski Morani podjął się tego zadania i pracuje obecnie nad wykonaniem kurtyny, która będzie w przyszłości towarzyszyła artystce we wszystkich

podróżach, a jest tak oryginalną pod względem pomysłu i wykonania, że z pewnością niema sobie równiej. Inicjały imion artystki: Marja-Eleonora, tworzą wraz z jej nazwiskiem, Duse, wyraz „Meduse“—i Meduza stanowi motyw kurtyny. Na środku, w górze, namalowana jest olbrzymia tarcza z głową Meduzy; na prawo i na lewo, pod potężnym dębem, dwie figury alegoryczne, wyobrażające Dramat i Literaturę. Cała kurtyna zasłana jest naprzemian głowami Meduzy i nazwiskiem Duse, które łączy się z literami M. i E. Na tle blade szarem odcinają się efektownie te motywy, malowane w złotym tonie, a szeroki brzeg stanowi ośm wielkich pawi między kolorowymi ornamentami.

— Do ostatnich nowości dnia należy otwarcie w Paryżu, w Quartier Latin „restauracji akcyjnej studentów“. To dzieło wielkiej użyteczności publicznej (studentów mieszka w Paryżu dziesiątki tysięcy) zawdzięcza był swój Komitetowi studentów, lekarzy, adwokatów i profesorów. Kapitał zakładowy wynosi 25 tys. fr. w akcjach 25-frankowych. Spłata każdej akcji może być dokonana w ciągu 10 miesięcy; dywidenda określona na 4 proc. Nad dobrocią produktów i kuchni czuwa surowa kontrola sanitarna. Ceny potraw możliwe niskie. Pośrednicy wyłączeni. Napiwki wzbronione; wszelkie napoje wysokokowe usunięte; na stołach studenckich, prócz wody i mleka, figurować może tylko wino, piwo i jabłecznik. Wszystkie dzienniki przyjęły tę instytucję jednomyślnym hymnem pochwalnym i gorącymi słowami zachęty.

— Jest na wodach chińskich wyspa, zwana Tenngming, używająca, niewiedzieć czemu, wśród chińczyków opinji, że na jej własnie wybrzeżu wylądował kiedyś flota nieprzyjacielska—japońska. Tedy mandaryni rządzący wyspą umyślili oryginalny sposób obrony. Oto z chwilą nastania przypływu morza (bo tylko w czasie przypływu wylądowanie jest możliwem) ludność w mundurzy żołnierskie i wylega na wybrzeże. Nieprzyjaciel, spostrzegłszy tak niezliczone „wojsko“ oczywiście ulegnie się i hazardownemu przedsięwzięciu da pokój! Z chwilą nastania odpływu, mieszkańcy zrzucają z siebie mundury i wracają do spokojnych swych zajęć... Najzupełniej autentyczne.

— Towarzystwo przeciw snowi utworzyło się w Chicago i ma już licznych członków. Kto chce należyć do tego Towarzystwa, musi się zobowiązać nie spać dłużej niż 4 godziny na dobę i dzieciom swoim nie pozwalać na dłuższy wypoczynek. Na posiedzeniu organizacyjnem Towarzystwa prezes wygłosił mowę następującą: „Od lat dwóch nie śpię dłużej jak cztery godziny, i czuję się silniejszym niż dawniej. Tysiące ludzi maruje życie na niepotrzebnym śnie. Jest to oznaka lenistwa, a leniuchów Chicago nie potrzebuje!“ Podczas posiedzeń długie przemowy są wzbronione; widocznie członkowie obawiają się wywołać widmo snu. Oczywiście amerykańkom przebrały się już wszelkie pomysły — mądre, skoro ten niemądry cel obrac sobie mogło kilkudziesięciu ludzi. Sen jest dla człowieka niezbędnym. Przeciwnie spać powinno dziecko godzin 9 — 10, człowiek dorosły 7 — 8 godzin na dobę.



Redaktor i wydawca

Erazm Plitz.